

BOLESŁAW PRUS

PLACÓWKA

Bolesław Prus

Placówka

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23548714

Placówka:

Аннотация

Placówka Bolesława Prusa to powieść pozytywistyczna, podejmująca tematykę chłopską. Ślimak, główny bohater powieści wiezie wraz z rodziną życie na polskiej wsi. Jego życie nie przypomina wcale sielanki, ale pełne jest codziennych trudów, jakie niesie ze sobą ubóstwo, ciężka praca i codzienna walka o godny byt dla rodziny. Dodatkowym problemem stają się niemieccy kolonizatorzy, którzy chcą wykupywać grunty należące do polskich chłopów – w tym właśnie ziemię Ślimaka. Placówka Bolesława Prusa ukazała się w 1886 roku, widoczne są w niej wpływy realistyczne i naturalistyczne. Do najważniejszych kwestii poruszanych przez autora zalicza się chłopską moralność i gotowość do obrony własnych wartości i trudne relacje z wyższymi warstwami społecznymi.

Содержание

I	4
II	12
III	36
IV	56
V	87
Конец ознакомительного фрагмента.	98

Bolesław Prus

Placówka

I

Spod pagórka nie większego od chaty wypływa źródło rzeki Białki. W opoczystym¹ gruncie wyłobilo ono kotlinę, gdzie woda huczy jak rój pszczół gotujących się do odlotu.

Na przestrzeni mili Białka płynie równiną. Lasy, wsie, drzewa w polu, krzyże na drogach widać jak na dłoni, zmniejszające się w miarę odległości. Okolica wygląda jak okrągły stół, w środku którego stoi człowiek niby mucha przykryta niebieskim kloszem. Wolno mu jeść, co znajdzie i czego inni nie zabiorą, byle nie chodził za daleko i zbyt wysoko nie latał.

Ale po przejściu mili w stronę południa znajdujemy inny kraj. Płaskie brzegi Białki wznoszą się i oddalają od siebie, gładkie pole nabrzmiewa pagórkami, ścieżka idzie do góry, to spada na dół, znowu idzie w górę i znowu spada coraz gwałtowniej i częściej.

Równina znikła, jesteś w wąwozie i zamiast rozległego horyzontu spotykasz na prawo i na lewo, przed sobą i za sobą, wzgórza wysokie na kilka pięter, łagodne lub spadziste, nagie lub zarośnięte krzakami. Z tego wąwozu przechodzisz

¹ *opoczysty* – skalisty; por. *opoka*: skała. [przypis edytorski]

w drugi wąwóz, jeszcze dzikszy i ciaśniejszy, potem w trzeci, czwarty... dziesiąty... Ogarnia cię chłód i wilgoć; wdrapujesz się na pagórek i widzisz, że jest to ogromna sieć wąwozów, rozwidlających się i poplątanych.

Jeszcze paręset kroków z biegiem rzeki i znowu zmienia się krajobraz. Pagórki są coraz niższe i stoją oddzielnie, podobne do wielkich mrowisk. Blask południowego słońca uderza cię prosto w oczy; z kraju wąwozów dostałeś się w obszerną dolinę Białki.

Jeżeli cała ziemia jest stołem, na którym Opatrzność dla stworzeń przygotowała ucztę, to dolina Białki jest olbrzymim półmiskiem mającym wydłużoną formę i mocno zadarte brzegi. Tylko w zimie półmisek ten jest biały; w każdej zaś innej porze wygląda jak majolika² ozdobiona mnóstwem barw i kształtów surowych i nieregularnych, lecz pięknych.

Na dnie owego naczynia boski garncarz umieścił łąkę i z północy na południe przeciął ją wstęgą Białki, na której tle szafirowym fale z rana i wieczór połyskują czerwienią, złotem w dzień, a srebrem podczas jasnych nocy.

Tak urobiwszy dno, zabrał się arcymistrz do lepienia brzegów, bacząc, aby każdy posiadał odrębną fizjonomię.

Brzeg zachodni wygląda dziko. Łąka dotyka wzgórz spadzistych, zasypanych wapiennym żwirem. Gdzieniedzie

² *majolika* – ceramika (głównie naczynia) pokryta kolorowym szklivem (barwionym i utwardzanym dzięki dodatkom metali: ołów, cyna), produkowana we Włoszech od XIV w. do XVII w. [przypis edytorski]

rośnie krzak głogu, karłowata brzoza albo trześnia³ chora. Często widać płaty ziemi jakby obdartej ze skóry. Najwytrzymalsza roślina ucieka stąd, a miejsce zieloności zajmują gliny, siwe pokłady piasku albo opoka⁴, co wyszczerza na łąkę trupie zęby.

Wschodni brzeg jest inny; tworzy jakby amfiteatr o trzech kondygnacjach wznoszących się jedna nad drugą. Pierwsze piętro, tuż nad łąką, zbudowano z czarnoziemiu; w jednym miejscu widać na nim szereg chałup otoczonych drzewami; jest to wieś. Drugie piętro ukształtowało się z ziemi gliniastej; tu stoi dwór, prawie nade wsią, z którą łączy go stara aleja lipowa. Na prawo i na lewo ciągną się dworskie łąny w postaci wielkich prostokątów, zasianych pszenicą, żytem, grochem albo pod ugór zajętych. Nareszcie trzecią kondygnację tworzą grunta piaszczyste, obsiewane owsem lub żytem, a jeszcze wyżej – czerni się las sosnowy, podpierający niebo.

W północnym krańcu doliny widać gromadkę pagórków stojących pojedynczo jak kopce. Trzy z nich (między nimi jeden najwyższy w okolicy, z sosną na szczycie) należą do gospodarza Józefa Ślimaka.

Jest to posiadłość jak pustelnia; do wsi z niej daleko, a jeszcze dalej do dworu.

Obejmuje dziesięć morgów gruntu, od wschodu przytyka do rzeki Białki, od zachodu do gościńca, który z tego miejsca przecina dolinę i biegnie do wsi.

³ *trześnia* – dzika czereśnia a. wiśnia; czereśnia ptasia. [przypis edytorski]

⁴ *opoka* – skała. [przypis edytorski]

Przy drodze mieszczą się budynki Ślimaka. Jest tam chata, zwrócona jednymi drzwiami do gościńca, drugimi do podwórka, jest stajnia z oborą i chlewkiem, nakryte jednym dachem, jest stodoła i wreszcie szopa na wozy. Wszystko ustawione wzdłuż boków kwadratowego dziedzińca.

Chłopi dolińscy żartowali ze Ślimaka, że mieszka na wygnaniu jak Sybirak. – Prawda, że do kościoła – mówili – bliżej mu niż nam; ale za to nie ma do kogo gęby otworzyć.

Pustka wszelako nie była tak bezludną. W jesieni przy ciepłym dniu, można było widzieć na wzgórzu białą figurę parobka, jak w parę koni orał ziemię – albo żonę Ślimaka i dziewczynę najmitkę⁵, obie w czerwonych spódnicach, jak kopały kartofle. Między wzgórzami trzynastoletni Jędrak Ślimak zwykle pasł krowy, wyprawiając przy tym dziwne łamańce. Lepiej zaś poszukawszy, znalazłbyś jeszcze ośmioletniego Staśka z białymi jak len włosami, który włóczył się po wawozach albo siedząc na pagórku pod sosną, zamyślony, patrzył w dolinę.

Zagroda ta, kropla w morzu ludzkich interesów, była odrębnym światem, który przechodził różne fazy i posiadał własną historię.

Był na przykład czas, że Józef Ślimak miał ledwie siedem morgów gruntu, a w chacie tylko żonę. Wkrótce jednak spotkały go dwie niespodzianki: żona powiła syna Jędrka, a gospodarstwo skutkiem układu o serwituty⁶ powiększyło się o trzy morgi

⁵ *najmitka* – kobieta najmowana do prac polowych. [przypis edytorski]

⁶ *serwituty* – w daw. Polsce uprawnienia chłopów do korzystania z dworskich łąk,

gruntu.

Wypadki te wywołały dużą zmianę w życiu chłopów: dokupili krowę i wieprza i zaczął wynajmować komorników⁷ do robót około swej ziemi.

W kilka lat później przyszedł na świat drugi syn. Wówczas Ślimakowa zgodziła sobie do pomocy starą wyrobnicę Sobieską sposobem próby na pół roku. Próba przeciągnęła się do trzech kwartałów; po czym stęskniona za karczmą Sobieska uciekła w nocy na wieś, jej zaś miejsce zajęła „głupia Zośka”, znowu na pół roku. Ślimakowej wciąż zdawało się, że po ukończeniu najpilniejszej roboty będzie mogła obejść się bez sługi.

„Głupia Zośka” przesiedziała u nich około sześciu lat, lecz choć następnie poszła na służbę do dworu, w chacie roboty nie ubyło. Przyjęła więc gospodyni piętnastoletnią sierotę Magdę, która lubo miała swoją krowę, kilka zagonów ziemi i pół chaty, wolała jednak pójść między ludzi niż siedzieć na ojcowiznie.

pastwisk i lasów (tj. prawo do korzystania z drzewa opałowego, chrustu, runa leśnego oraz prawo wypasu). Reforma uwłaszczeniowa chłopów (Galicja 1848, Królestwo Polskie 1864) przyznawała właścicielom ziemskim prawo własności do terenów obciążonych serwitutami, ale bez zgody wsi nie mogli nią swobodnie dysponować (np. sprzedać ziemię a. wyciąć las); natomiast prawo chłopów do użytkowania terenów serwitutowych zostało potwierdzone, ale decyzję o sposobie jego egzekwowania pozostawiono właścicielom, co dawało im możliwość wywierania nacisku na wieś. W tej sytuacji szlachta dążyła do **układu z wsią w sprawie serwitutów**: za uzyskanie zgody chłopów na zniesienie obciążenia serwitutami jakiegoś terenu, wynagradzała ich innymi gruntami. [przypis edytorski]

⁷ *komornik* – chłop nieposiadający gospodarstwa ani domu, opłacający własną pracą swój pobyt w domu innego, bogatszego chłopów a. właściciela ziemskiego. [przypis edytorski]

Mówiła, że stryj za mocno ją bijał; dalsi zaś krewni umieli tylko zachęcać ją do pokory twierdząc, że im stryj więcej kijów połamie, tym dla niej będzie lepiej.

W owej epoce Ślimak przeważnie sam pracował około roli, rzadko wynajmując robotników. Mimo to tyle jeszcze miał czasu, że chodził z końmi do dworu albo Żydkom mieszkającym w osadzie przywoził towary z miasta. Gdy jednak dwór coraz częściej wzywał go do roboty, więc Ślimakowi już nie wystarczali dzienni najemnicy i począł oglądać się za pomocnikiem stałym.

Pewnej jesieni, kiedy żona najmocniej suszyła mu głowę o parobka, zdarzyło się, że wracał ze szpitala Maciek Owczarz, któremu wóz wykręcił nogę. Kalece wypadła droga koło chaty Ślimaków; a że był nędzny i zmęczony, więc usiadł na kamieniu przy wrotach i miłosiernie zaczął spoglądać na sień chałupy. Tam właśnie gospodyni tarła dla trzody gotowane kartofle, takie dobre, że ich smak wraz z kłębami pary rozchodził się po całym gościńcu. Owczarza aż w dołku zakręciło od tych zapachów i już wcale nie mógł podnieść się z kamienia.

– To wy, Owczarzu? – odezwała się Ślimakowa, ledwie poznawszy nieboraka w łachmanach.

– Jużci ja – odpowiedział nędzarz.

– Gadali we wsi, że was zabiło.

– Gorzej mi zrobiło – westchnął Maciek – bo mnie oddali do szpitala. Czemużem ja nie został na miejscu pod wozem? miałbym już pewny nocleg i głodu bym nie cierpiał...

Gospodyni zamyśliła się.

– Żeby człowiek wiedział – rzekła po chwili – że nie zamrzesz, to może być i u nas został parobkiem?...

Biedak zerwał się z kamienia i przeszedł do chaty wlokąc za sobą nogę.

– Co mam zamrzeć? – zawołał. – Zęby przecie mam zdrowe i robić mogę za dwu, byłem się trochę odgryzł. Dajcie mi barszczu z chlebem, a ino zjem, urąbię wam bodaj furę drzewa. Potrzymajcie mnie z tydzień na próbę, a wszystkie te góry zaoram. Będę wam służył za stare odzienie i łatanie buty, byłem się miał gdzie przytulić na zimę...

Tu Owczarz zamilkł, zdziwiony, że tak dużo nagadał, bo z natury był małomówny. Ślimakowa obejrzała go ze wszystkich stron, nakarmiła, a zobaczywszy, że zjadł miskę barszczu a drugą kartofli, kazała mu umyć się w rzece. Gdy zaś mąż wrócił wieczorem do domu, przedstawiła Maćka jako parobka, który już drew urąbał i nakarmił bydło.

Ślimak w milczeniu wysłuchiwał tego, co się stało. A że miał serce pełne litości, więc rzekł po namyśle:

– To se zostań u nas, człowieku. Nam będzie lepiej, tobie będzie lepiej; nam będzie gorzej, tobie będzie gorzej. A jak kiedy, Boże nie daj, całkiem zabraknie chleba w chałupie, to trafisz se tam, gdzie byś trafił i dzisiaj. Wypoczętego każdy prędzej weźmie do roboty.

Takim sposobem dostał się do zagrody nowy mieszkaniec. Cichy jak mrówka, wierny jak pies i, choć kaleka, pracowity za

dwa konie.

Od tej pory, z wyjątkiem żółtego psa Burka, nic już nie przybyło w Ślimakowym gospodarstwie: ani z dzieci, ani ze służby, ani z dobytku. Życie zagrody ułożyło się do doskonałej równowagi. Wszystkie prace, niepokoje i nadzieje, wszystkie dusze ludzkie krążyły około jednego celu – utrzymania bytu. Do tego celu najmitka znosiła drwa na komin albo śpiewając i skacząc biegała po kartofle do lochu. Dlatego gospodyni zrywała się przede dniem do swoich krów albo piekła się przy ogniu, odsuwając i przysuwając wielkie garnki. Dlatego schylony nad pługiem pocił się Owczarz albo ciągnął kulawą nogę za broną. Dlatego wreszcie celu – Ślimak, szepcząc ranne pacierze, chodził o świcie do dworskich stodół albo sprzedane zboże odwoził Żydkom do miasta.

Z tej samej przyczyny, odpoczywając po robocie, narzekali oni zimą, że mało leży śniegu na życie, albo troszczyli się, skąd wziąć paszy dla bydła. Z tej przyczyny w maju prosili Boga o deszcz, a w końcu czerwca o pogodę. Z tej – po żniwach zgadywali, ile ćwierci wyda kopa i jakie będą ceny. Niby pszczoły koło ula, roiły się ich myśli około wielkiej sprawy powszedniego chleba. Zboczyć z tych kierunków było im trudno, całkiem wydobyć niepodobna. Nawet mawiali z dumą, że jak pan jest po to, ażeby bawił się i rozkazywał, tak chłop jest po to, ażeby karmił innych i siebie.

II

Był kwiecień. Po obiedzie rodzina Ślimaka zaczęła rozchodzić się do swych zajęć. Gospodyni, ścisnąwszy czerwoną chustę na głowie, zarzuciła na siebie płachtę upranej bielizny i pobiegła do rzeki. Za nią poszedł Stasiak, przypatrując się obłokom, które dziś wydawały mu się inne niż wczoraj. Magda najmitka wzięła się do mycia naczyń po strawie, nucąc coraz głośniej: „Oj! da! da!...” – w miarę oddalania się gospodyni od chaty. Wreszcie Jędrak popchnął Magdę, psa targnął za ogon i przeraźliwie gwizdząc, poleciał z motyką do sadu kopać grędy.

Ślimak siedział pod piecem. Był to chłop średniego wzrostu, z szeroką piersią i potężnymi ramionami. Miał twarz spokojną, wąsy krótko podcięte, na czole grzywkę, a z tyłu długie włosy spadające aż na kark. W zgrzebnej koszuli czerwieniła mu się pod szyją spinka szklana, oprawna w mosiądz. Łokieć lewej ręki oparł na prawej pięści i palił fajkę; gdy mu się zaś oczy przymknęły, a głowa zanadto pochyliła naprzód, poprawił się na ławie, oparł łokieć prawej ręki na lewej pięści i znowu palił fajkę.

Puszczął siwy dym i drzemał, spluwając niekiedy na środek izby albo przekładając ręce. Lecz gdy cybuszek zaczął mu skwierczyć jak młody wróbel, uderzył parę razy fajką o ławę dla wysypania popiołu i przetkał ją palcem. Wreszcie podniósł się i ziewając, położył fajkę nad kominem.

Spojrzał spod oka na Magdę i wzruszył ramionami. Żwawość

dziewczyny, wyskakującej przy myciu statków, budziła w nim politowanie. On by już tak nie wyskoczył, bo on wie, jak ciężą ręce, nogi i głowa, kiedy człowiek dobrze się napracuje.

Wzwał grube buty z podkawkami, wziął sztywną sukmanę, przepasał się twardym rzemieniem, na głowę włożył wysoką czapkę z barana i poczuł, że ręce, nogi i cała osoba ciężą mu jeszcze bardziej. Przyszło mu na myśl, że po ogromnej misce krupniku, a drugiej klusków z serem, byłoby stosowniej leć na słomie aniżeli iść do roboty. Ale przemógł się i powoli wyszedł na podwórko. W tabaczkowej sukmanie i czarnej czapie wyglądał jak niski pień sosnowy, okopcony u wierzchu.

Wrota stodoły były otwarte i jakby na przekór wyglądało z nich parę snopów słomy, wabiących Ślimaka do drzemki. Ale chłop odwrócił głowę i spojrzał na jedno ze swych wzgórz, gdzie tego ranka zasiał owies. Zdawało mu się, że na zagonach widzi żółte ziarna, bardzo wystraszone i daremnie usiłujące skryć się pod ziemię przed stadem wróbli, które dziobały owies.

– Zjadły wy byście mnie do szczętu! – mruknął Ślimak. Ciężkim krokiem zbliżył się do szopy i wydobył dwie brony, jakby kraty okienne, najeżone dębowymi palcami, potem wyprowadził ze stajni swoje kasztanki. Jeden ziewał, drugi ruszał wargą i patrzył na Ślimaka przymrużonymi oczyma, mówiąc w duchu:

„Nie wolałbyś, chłopie, sam zdrzemnąć się i nas nie włóczyć po górach? Małoż to nabiegaliśmy się wczoraj?”

Ślimak na taką radę pokiwał głową. Zaprzągł kasztanki do

jednej brony, przyczepił do niej drugą i – pojechali z wolna. Minęli zieloną łączkę za stajnią, wdrapali się na popielaty bok wzgórza, wreszcie dosięgli szczytu.

Patrząc na nich przez wierzch stajni, zdawało się, że krępy chłop i para kasztanków ze zwieszonymi łbami włóczą się po błękitnie niebieskim, sto kroków tam i sto kroków na powrót. Ile razy dochodzili granicy zasianego pola, zrywało się przed nimi gniewnie świergocące stado wróbli i jak chmura leciało poza nich na kraniec przeciwny. Czasami siadało z boku, zawsze krzycząc i dziwując się, że Ślimak zasypuje ziemią tyle pięknego ziarna.

„Głupi chłop! głupi chłop!... Cóż to za głupi chłop!...” – wołały wróble.

– Aha! – mruknął Ślimak, wywijając batem. – Żeby ja słuchał was, darmożjadów, to i wy zmarnielibyście pod płotem. Oni tu jeszcze będą wydziwiali, próżniaki!...

Już to wesela nie miał Ślimak przy pracy ani uznania. Nie dość, że wróble z wrzaskiem krytykowały jego robotę, że kasztanki wzgardliwie wywijają mu ogonami pod nosem, jeszcze brony, zamiast iść naprzód, opierały się z całych sił i lada kamyk, lada garstka ziemi na swój sposób stawiały mu przeszkodę. Oto co kilkanaście kroków utykają znudzone kasztanki, a gdy Ślimak krzyknie: „Wio, dzieci!” – konie wprawdzie ruszą, ale znowu brony buntują ich i w tył ciągną. Gdy zmordowane wysiłkiem puszcza brony, to znów kamienie włożą koniom pod kopyta, a jemu pod nogi, albo zapychają bronom zęby, a często i łamią niejedną. Nawet ziemia stawia mu opór, niewdzięcznica.

– Od świni gorszaś⁸! – oburzył się chłop. – Żebyś tak świnię skrobał zgrzeblem, jak ciebie bronami, nie tylko spokojnie by się układała⁹, ale jeszcze chrząknęłaby na podziękowanie. A ty wciąż się jeżysz, jakbym ci robił krzywdę!...

Za znieważoną ujęło się słońce i rzuciło ogromny snop światła na popielatą rolę, na której tu i ówdzie widniały plamy ciemne albo żółtawe.

„Oto patrz! – mówiło słońce. – Widzisz ten płat czarny? Tak czarne było wzgórze, kiedy twój ojciec siewał¹⁰ na nim pszenicę. A teraz spojrzysz na ten żółty płat: tu już glina wychyla się spod czarnoziemu i niedługo obsiedzie¹¹ ci wszystkie grunta”.

– A cóżem ja temu winien? – odparł Ślimak.

„Nie tyżeś winien? – szeptała z kolei ziemia. – Sam jadasz trzy razy na dobę, a mnie – jak często karmisz?... Daj Boże, raz na osiem lat! A dużo mi dajesz? Pies by zdechł na takim wikcie. I czego ci żal dla mnie sieroty?... Oto – wstyd powiedzieć – skąpisz mi bydłęcej mierzwy!...”

Skruszony chłop zwiesił głowę.

„Sam sypiasz, jeżeli cię żona nie spędzi, i po dwa razy na dobę; a mnie – jaki dajesz wypoczynek? Raz na dziesięć lat i to jeszcze było mnie depcze. I ja mam być z twojego bronowania

⁸ *gorszaś* – forma skrócona od: gorsza jesteś. [przypis edytorski]

⁹ *układała* – dziś popr. forma: ułożyła. [przypis edytorski]

¹⁰ *siewać* (daw.) – siać od czasu do czasu. [przypis edytorski]

¹¹ *obsiedzie* – dziś popr. forma: obsiadzie. [przypis edytorski]

kontenta¹²? Spróbuj nie dać siana, nie wyściel obory krowom, tylko je skrob szczotką, a zobaczysz, czy będziesz miał mleko? Padnie ci stworzenie, gmina przysze¹³ weterynarza, żeby wybił resztę dobytku, i nawet Żyd skóry z tego nie kupi”.

– Oj, la Boga, la Boga!... – wzdychał chłop, uznając, że ziemia ma rację. Ale pomimo skruchy nikt go nie pożałował w strapieniu. Owszem, chwilami zrywał się wiatr zachodni i zaplątany między zeschnięte badyle na miedzy¹⁴ świstał mu w ucho:

„Nie bój się, dam ja ci, dam!... Sprowadzę taki deszcz, taki potop, że resztę czarnoziemiu wypłucze ci na gościniec albo na dworską łąkę. Żebyś własnymi zębami bronował, i tak jeszcze z roku na rok będziesz miał coraz mniej pociechy. Wszystko wyjałowię!”

Nie na próżno wiatr groził. Za ojca nieboszczyka, za starego Ślimaka, zbierano w tym miejscu po dziesięć korcy¹⁵ pszenicy z morgi. Dziś i za siedem korcy żyta trzeba dziękować Bogu; a co będzie za dwa, za trzy lata?...

– Ot, chłopska dola! – mruknął Ślimak. – Pracuj, pracuj, a zawsze tylko z jednej biedy wleziesz w drugą. Inaczej bym ja gospodarował, żeby tak doczekać jeszcze jednej krowiny i choćby tak tej oto łączki...

¹² *kontent* – zadowolony. [przypis edytorski]

¹³ *prysze* – dziś popr. forma: *przyśle*. [przypis edytorski]

¹⁴ *miedza* – pas ziemi rozdzielający pola uprawne. [przypis edytorski]

¹⁵ *korcy* – dziś popr. forma: *korców*; *korzec*: daw. miara objętości ciał sypkich, wynosząca 128 litrów (korzec warszawski). [przypis edytorski]

Wskazał batem na łąkę przy Białce.

„Głupi chłop. Cóż to za głupi chłop!” – świergotały wróble.

„Patrzaj, jak glina wypycha ci czarnoziem!” – pokazywało słońce.

„Głodzisz mnie, nie dajesz wypoczynku...” – stękała ziemia.

„Durny ty, durny” – warczały z gniewem zębate a leniwe brony.

„Chi! chi!...” – śmiał się wiatr w zeschniętych badyłach.

– Ot, dola! – szepnęła Ślimak. – Żeby to dziedzic, żeby choć ekonom tak cię, człeku, posponował¹⁶, jeszcze by żalu nie było. Ale nie me stworzenie i to już nie daje ci dobrego słowa...

Utopił palce we włosy, aż mu czapka zsunęła się na lewe ucho, i wstrzymał konie, chcąc rozejrzeć się i smutne myśli pogubić gdzie na polach.

Między chatą i gościńcem Jędrak kopał ziemię motyką i od czasu do czasu rzucał kamieniami na ptaki albo śpiewał fałszywie:

Uch!... jak ja se urznę
Krakowiaka z nogi,
Pójdą wiechcie z butów,
A drzazgi z podłogi.

Albo pukał w okno chaty i wrzeszczał na przekór Magdzie:

¹⁶ *posponować* – postponować; ubliżać komuś, poniewierać kogoś. [przypis edytorski]

Widzi Bóg, dalibóg,
Żem cię nie poznała,
Bobym ja ci, Stasiu,
Otworzyć kazała!

A ona mu z izby na tę samą nutę:

Chociaż ja uboga,
Ubogiej matusie,
Nie będąc dawała
Po kątach gębusie.

Ślimak odwrócił się ku łące i zobaczył swoją kobietę, jak schylona pod mostem, w koszuli i lekkiej spódnicy, prała szmaty kijanką, aż echo rozlegało się po dolinie. Na łące był i Stasiek, ale już opuścił matkę i szedł w górę rzeki, do jarów. Niekiedy klękał nad brzegiem i oparty na rękach, patrzył i patrzył w wodę.

– Ciekawość, co on tam wypatruje? – szepnął chłop z uśmiechem. Stasiek był to jego syn ukochany, a przy tym dziecko osobliwe, które często widywało rzeczy niedostępne dla zwykłego oka.

Ślimak wywinął batem i konie ruszyły. Znowu zawarczały brony, wróble znowu furknęły nad głową, wiatr znowu świstał w badyłach, ale chłopu już inne myśli zaczęły snuć się po duszy.

„Ileż ja mam gruntu? – medytował. – Dziesięć morgów, a w tym łąki ani okrucza. Gdybym obsiewał co rok tylko sześć albo siedem morgów, a resztę ugorował, z czegoż bym wykarmił

moją biedotę? A parobek – on tyle zjada co i ja i choć kulawy, bierze piętnaście rubli za usług. Magda mniej zje, ale i tyle robi, co pies napłakał. Całe szczęście, że mnie wołają do dworu czy jaki Żydzina zgodzi z furmanką, czy kobieta sprzeda masła i jaj albo wieprzka utuczy. I co z tego razem? Miłosierdzie boskie, jeżeli schowasz do skrzyni za cały rok pięćdziesiąt rubli. A przecie kiedyśmy się pobrali, i setce nie dziwował się człowiek...

Dajże tu ziemi nawozu, kiedy ci ledwie starczy chleba dla własnej gęby, a siano i owies musisz kupować we dworze. Niechby dworowi przyszła ochota nie sprzedać ci paszy albo nie zawołać cię do roboty, to co? Choć zdechnij z głodu, a było wypędź na rynek...

Przecie ja – dumął Ślimak – nie mam tyle gruntu co Grzyb albo Łukaszek, albo Sarnecki. To panowie. Jeden ze swoją babą jeździ do kościoła wózkiem, drugi chodzi w kaszkiecie jak bednarz, trzeci co roku chciałby wójta obalić i sam przyczepić się do łańcucha. A ty, człeku, bieduj na dziesięciu morgach i jeszcze ekonomowi kłaniaj się do ziemi, żeby pamiętał o tobie.

Niech tam se już idzie, jak szło do tych czasów! – zakonkludował¹⁷ chłop. – Łatwiej być księdzem na włoce niż dziadem na zagonie. Żebym ja miał więcej bydła i łąkę, to dworu nie prosiłbym o łaskę i koniczyny bym nawet posiał..."

Na gościńcu za rzeką podniósł się tuman pyłu. Ślimak spostrzegł go i poznał, że ktoś, jakby ode dworu, jedzie konno

¹⁷ zakonkludować – zakończyć rozważania (dyskusję) wnioskami. [przypis edytorski]

do mostu. Była to osobliwa jazda. Tuman kurzu posuwał się naprzód, ale niekiedy i cofał się wstecz, nawet na kilkanaście kroków. Czasem tak opadał, że chłopskie oczy mogły dojrzeć konia i jeźdźca; czasem tak powiększał się i kotłował na gościńcu, jakby zrywała się burza.

Ślimak wstrzymał konie, przysłonił oczy ręką i rozmyślał:

„Osobliwości, jak on jedzie, i kto to? Ni to dziedzic, ni furman, nawet chyba nie katolicka dusza, ale i nie Żyd!... Żyda rychtyk tak wykręca na szkapie jak onego; ale Żyd nie wypuszczałby znowu konia tak śmiało. Musi, że to jakiś nietutejszy albo wariat...”

Tymczasem jeździec o tyle zbliżył się do mostu, że Ślimak mógł mu się lepiej przypatrzeć. Był to pan szczupły, w jasnym odzieniu i aksamitnej dżokejce na głowie. Miał szkła na nosie, w ustach papierosa, a pod pachą szpicrutę. Cugle trzymał w obu pięściach, które mu wciąż skakały między końską szyją i własną brodą. Wykrzywionymi nogami tak mocno obejmował siodło, że spodnie podwinęły mu się do kolan i było widać nad kamaszami bez cholewek białe płótno.

Człowiek najmniej obeznany z hipiką¹⁸ mógł zgadnąć, że jeździec po raz pierwszy dosiada konia, a koń po raz pierwszy dźwiga podobnego jeźdźca. Chwilami obaj w pięknej harmonii jechali kłusem, wnet jednak wyskakujący na siodle kawalerzysta tracił równowagę, szarpał lejce, a koń, czuły na każde dotknięcie, skręcał w bok albo stawał na miejscu. W takiej chwili jeździec

¹⁸ *hipika* – jeździectwo; sztuka jazdy konno. [przypis edytorski]

zaczynał cmokać i kolanami gnieść siodło, a widząc, że to nie skutkuje, usiłował spod pachy wydobyć szpicrutę. Wówczas koń domyśliwszy się, o co chodzi, poczynął znowu biec klusem, pobudzając do nadzwyczajnych ruchów ręce, nogi, głowę i tułów jeźdźca, który robił się podobny do lalki zszytej z kilkunastu źle przypasowanych kawałków.

Niekiedy zdesperowany, choć łagodny koń zrywał się do galopa. Wtedy jeździec jakimś cudem odzyskiwał równowagę na siodle i podniecony biegiem, puszczał wodze fantazji. Marzył, że jest kapitanem jazdy i na czele szwadronu pędzi do ataku. Ale wnet ręce, jeszcze nienawykłe do oficerskiego stopnia, wykonywały jakiś ruch zbyt cenny i – koń nagle stawał, a pan uderzał go w szyję nosem i papierosem.

Wszystko to jednak nie psuło mu humoru, od dziecka bowiem wzdychał do konnej jazdy, a dziś dopiero miał okazję nacieszyć się nią do syta.

Czasem koń, gdy mu zupełnie zwolniono cugli, zamiast iść naprzód, zwracał się w stronę wsi. Wówczas jeździec widział gromadę psów i dzieci goniących go z oznakami zadowolenia, a w jego demokratyczne serce wstępowała życzliwa radość. Oprócz bowiem popędu do rycerskich ćwiczeń namiętnie kochał on lud, który znał w tym samym stopniu, co i sztukę utrzymywania nóg w strzemionach. Po chwili jednak opanowywał wybuch miłości dla ludu, znowu budził w sobie kawaleryjskie instynkty i za pomocą skomplikowanych usiłowań skręcał na powrót do mostu. Widocznie miał zamiar przejechać

wszerz dolinę.

– Ehej! musi to szwagierek dziedzica, ten, co miał przyjechać z Warszawy – zawołał sam do siebie rozweselony Ślimak. – Żonkę wybrał se nasz pan galantą i nawet długo za nią nie jeździł; ale za takim szwagrem to musiał dużo świata oblecieć... W naszych stronach prędzej by spotkał niedźwiedzia niż osobę, co tak siedzi na koniu. Toż on głupszy od pastucha, choć pański szwagier... Ale zawsze pański szwagier!...

Gdy Ślimak w ten sposób taksował¹⁹ przyjaciela ludu, jeździec dostał się na most. Łoskot kijanki zwrócił jego uwagę, skrzył bowiem konia do poręczy i z wysokości siodła wytknął głowę nad wodę. Cieniutki tułów i zadarty daszek dżokejki robił go podobnym do żurawia.

„Czego on tam chce?” – pomyślał chłop.

Panicz widać zapytał o coś kobietę, bo powstała z klęczek i podniosła głowę do góry. Jej spódnica była wysoko podwinięta i Ślimak teraz dopiero spostrzegł, jakie ta niewiasta ma białe i piękne kolana. Aż go zimno przeszło.

– Czego on, u paralusza, chce od mojej baby? – powtarzał Ślimak. – Siedzi to na koniu jak nieborak, a kwapi się zaczepiać kobiety. Mogłaby i moja, co prawda, opuścić trochę malowanki, nie zaś uginać się tak brzydko. Zawsze to pański szwagier.

Pański szwagier zjechał z mostu, z niemałym trudem skierował konia do wody i stanął tuż obok Ślimakowej. Chłop już nie mruzczał, tylko przypatrywał się im coraz pilniej. Kolana

¹⁹ taksować – oceniać. [przypis edytorski]

żony wydawały mu się jeszcze bielsze.

Wtem stała się rzecz dziwna. Panicz wyciągnął rękę jakby do paciorków na szyi Ślimakowej niewiasty, ona zaś machnęła kijanką tak energicznie, że spłoszony koń wyskoczył z wody na gościniec, a jeździec kolanami objął go za szyję.

– Co ty robisz, Jagna! – wrzasnął Ślimak. – Przecież to pański szwagier, ty głupia...

Ale krzyk jego nie doleciał do Jagny, a panicz wcale nie obraził się za manewr z kijanką. Przesłał ręką pocałunek Ślimakowej i poprawiwszy się w strzemionach, spiął konia piętami. Mądry zwierz odgadł jego zamiar. Łeb wyrzucił w górę i ostrym klusem ruszył w stronę chaty Ślimaków. Lecz szczęście znowu nie dopisało paniczowi: noga wysunęła mu się ze strzemienia, więc oburącz chwycił rumaka za grzywę i na całe gardło począł wołać: „tpru!... stój, ty diable!...”

Jędrak usłyszał krzyk i wdrapał się na wrota; zobaczywszy zaś dziwnie ubranego panicza wybuchnął śmiechem. Wtedy koń skoczył w lewo i tak zawiął jeźdźcem, że mu spadła aksamitna dżokejka.

– Podnieś no czapkę, kochanku!... – zawołał panicz do Jędrka i pędził dalej.

– A to se pan podnieś, kiedy gubisz... Cha! cha! – śmiał się Jędrak i klasnął w rękę, ażeby lepiej spłoszyć bieguna.

Wszystko to widział i słyszał jego ojciec. W pierwszej chwili zuchwalstwo chłopca mowę mu odjęło, ale wnet oprzytomniał i krzyknął z gniewem:

– Ty kondlu²⁰, Jędrak!... A podaj krymkę²¹ jasnie paniczowi, kiej²² ci każe!

Jędrak wziął we dwa palce dżokejkę i trzymając ją z daleka od siebie, podał jeźdźcowi, który już powściągnął konia.

– Dziękuję, bardzo dziękuję... – rzekł panicz, śmiejąc się nie gorzej od Jędrka.

– Jędrak! psia wiaro, a czemu czapki nie zdejmiesz przed jasnie paniczem?... – wołał z góry Ślimak. – Zdejmij zaraz!

– A co ja mam każdemu czapkować? – odparł zuchwały wyrostek.

– Wybornie!... bardzo dobrze!... – cieszył się panicz. – Poczekaj, dam ci za to złotówkę. Wolny obywatel nie powinien upokarzać się przed nikim.

Ślimak nie podzielał demokratycznych teoryj panicza. Rzucił lejce kasztankom i z czapką w jednej, a batem w drugiej ręce biegł ku Jędrkowi.

– Obywatelu! – zawołał panicz do Ślimaka – obywatelu, proszę cię, nie rób mu krzywdy... Nie stumiaj²³ niepodległości ducha... Nie...

²⁰ *kondel* (daw.) – kundel; tu: wyzwisko. [przypis edytorski]

²¹ *krymka* – płytko, ściśle przylegająca do głowy czapeczka bez daszka, zwykle z jedwabiu lub aksamitu, często ozdobiona haftem; pierwotnie część stroju Tatarów krymskich (stąd nazwa), następnie rozpowszechniona w Polsce od XVI wieku; tu: każde nakrycie głowy bez ronda. [przypis edytorski]

²² *kiej* (daw.) – kiedy. [przypis edytorski]

²³ *stumiaj* – dziś popr. forma W.lp tylko od czas. niedokonanego (tłumić): tłum. [przypis edytorski]

Chciał prawieć jeszcze, ale znudzony koń uniósł go w stronę mostu. W drodze jeździec minął wracającą do chaty Ślimakową i zdjąwszy zakurzoną dżokejkę zaczął wywijać nią i wołać:

– Niech pani nie pozwala bić chłopca!...

Jędrak zniknął między budynkami, panicz przejechał most z powrotem, ale Ślimak jeszcze stał na miejscu z batem w jednej i czapką w drugiej ręce, zdumiony tym, co się stało. Jakiś cudak, który zaczepiał mu żonę i cieszył się zuchwalstwem Jędrka, ten sam jego, uczciwego chłopca, przezwał „obywatelem”, a kobietę „panią”...

– Farmazon²⁴! – mruknął. Nakrył głowę i gniewny wrócił do koni.

– Wio, dzieci!... To ci świat nastaje, nie bój się. Chłopski syn nie chce ukłonić się panu, a pan mu to chwali. Taki on i pan. Prawda, że szwagier dziedzica, ale musi coś ma zepsute w głowie, o, ma! Wio, dzieci! Niezadługo zabraknie panów, a ty, chłopie, choć zdychaj. Ha, może Jędrak, jak urośnie, da sobie inną radę, bo on chłopem nie będzie, co nie, to nie. Wio, dzieci!...

Zdawało mu się, że widzi Jędrka w butach bez cholew i aksamitnej dżokejce.

– Tfu! – splunął. – Już dopokąd ja oczu nie zamknę, ty się, kundlu, tak nie odziejesz. Wio, dzieci! Zawdy trzeba mu dziś sprawić basarunek²⁵, bo tak się znarowi, że kiedy przed samym

²⁴ *farmazon* – niedowiarek, odmieniec, dziwak, oszust; źródłosłów od: *franc-maçon* będącego kalką z ang. *freemason*, tj. wolnomularz, mason. [przypis edytorski]

²⁵ *basarunek* – chłosta; lanie. [przypis edytorski]

dziedzicem nie zdejmie czapki, a ja stracę zarobek. Dopieroż bym miał! A wszystko przez babę, co wciąż buntuje chłopaka. Nic nie pomoże, trza mu porachować gnaty!...

Teraz Ślimak spostrzegł znowu pył na gościńcu, ale od strony równin, i zobaczył dwa jakby cienie: jeden wysoki, a drugi podługowaty. Podługowaty szedł za wysokim i kiwał głową.

„Ktoś krowę wiezie – pomyślał chłop – ale przecie nie na targ?... Trza zbić chłopaka i święty Boże nie pomoże... Co to za krowa?... Wio, dzieci! Oj, żebym ja tak miał jeszcze jedną krowinę i choć ten oto kęs łąki!...”

Zjechał ze szczytu wzgórza i począł bronować jego spadek, zwrócony do Białki. Nad rzeką zobaczył Staśka, ale za to stracił z oczu swoją zagrodę i tajemniczego chłopca z krową. Ręce opadały mu, nogi ledwie wlokły się ze zmęczenia, ale najbardziej ciążyła mu niepewność, jaką miał w duszy, że on nigdy dobrze nie odpocznie. Skończy swoją robotę, musi iść do miasteczka, bo i z czego by żył?

„Żeby też człowiek mógł się kiedy dobrze wyleżeć! – pomyślał. – Ba! żebym miał więcej gruntu albo choć jeszcze jedną krowinę i tę łąkę, to bym leżał...”

Już z pół godziny chodził po nowym miejscu za bronami, cmokając na konie albo marząc o wyleżeniu się, gdy nagle usłyszał:

– Józef! Józef!...

I zobaczył na wzgórzu swoją kobietę.

– No, a co tam? – spytał chłop.

– Wiesz ty, co się stało?... – rzekła zadyszana gospodyni.

– Skądże mam wiedzieć? – odparł chłop zaniepokojony.

„Czyby nowy podatek?” – przemknęło mu się przez głowę.

– Przyszedł do nas stryj Magdy, wiesz, ten Grochowski, Wojciech...

– Może chce zabrać dziewczuchę? to niech ją bierze.

– Ale, jemu tam akurat dziewczucha w głowie. Przyszedł z krową i chce ją sprzedać Grzybowi za trzydzieści pięć rubli papierkami i srebrnego rubla za postronek. Śliczności krowa, mówię ci.

– Niech ją sprzedaje, cóż mnie do niej?

– To ci do niej, że my ją kupimy – rzekła Ślimakowa stanowczym tonem.

Chłop spuścił bat ku ziemi i przychyliwszy głowę spoglądał na żonę.

Jakkolwiek dawno wzdychał do trzeciej krowy, przecie wydatek kilkudziesięciu rubli i tak nagła zmiana w gospodarstwie wydały mu się rzeczą potworną.

– Złe w ciebie wstąpiło czy co?... – zapytał.

Baba ujęła się pod boki.

– Co we mnie miało złe wstąpić? – mówiła, podnosząc głos.

– Cóż to, mnie już nie stać na krowę? To Grzyb swojej babie kupił wózek, a ty mi bydłęcia żałujesz!... Są przecie dwie krowy w oborze, a boli cię o nich głowa?... A miałbyś ty całą koszulę, żeby nie te stworzenia?

– O la Boga! – jęknął chłop, któremu szybka wymowa

małżonki poczęła mieszać myśli. – A czymże ty ją wykarmisz; bo mi przecie ze dworu więcej paszy nie sprzedadzą. No, czym? ... – pytał.

– Weź od dziedzica w arendę tę oto łąkę, a będziesz miał paszę – odpowiedziała żona, wskazując na płat trawy między gruntami Ślimaka i Białką.

Bliskie urzeczywistnienie najśmielszych marzeń przeraziło chłopca.

– Bój się Boga, Jagna, co ty gadasz? Jakże ja wezmę łąkę w arendę²⁶? – spytał.

– Pójdź do dworu, poproś pana, zapłać czynsz za rok, i tyle.

– Zwariowała baba, jak mi Bóg miły! Przecie dziś nasze bydłę z tej samej łąki szcypie trawę darmo; a jak zapłacę czynsz, to co?... To już nie będzie darmo.

– Jak zapłacisz czynsz, to będziesz miał trzecią krowę.

– Choroba mi po niej, kiedy i za nią, i za łąkę trzeba płacić. Nie pójdę do dziedzica...

Żona przysunęła się i zajrzała mu w oczy.

– Nie pójdiesz? – spytała.

– Nie pójdę.

– No, to ja i w domu zdybię paszy, a wtedy pójdiesz do samego diabła, nie tylko do dziedzica, jak ci zbraknie dla koni. A tej krowy z chałupy nie wypuszczę i kupię ją...

– To se kupuj.

²⁶ wziąć w arendę – wydzierżawić; użytkować za opłatą na rzecz właściciela. [przypis edytorski]

– Kupię, ale ty stargujesz, bo ja nie mam czasu namawiać Grochowskiego i nie będę z nim piła wódki.

– Pij! namawiaj! kiedy ci się zachciało krowy! – wołał Ślimak.

Żwawa kobieta wyciągnęła rękę i grożąc nią, wołała:

– Józek, ty mi się nie buntuj, kiedy sam nie masz dobrego zastanowienia. Ty mnie słuchaj. Frasujesz się co dzień, że ci nie starczy nawozu, klekoczesz mi głowę, że ci trzeba bydłęcia, a kiedy przyszedł czas, kupić go nie chcesz. Przecie te krowy, co już są, nic cię nie kosztują i jeszcze dają pieniądze z nabiału: więc i tamta pieniądze ci przyniesie, ino się słuchaj. Mówię ci, słuchaj się!... Kończ robotę, przychodź do izby i krowę mi wytarguj, bo inaczej znać cię nie chcę...

To powiedziawszy odeszła, a chłop porwał się za głowę.

– A dolaż moja z tą babą! – lamentował. – Gdzie ja nieszczęśliwy potrafię wziąć łąkę w arendę?... Toż dziedzic nawet gadać ze mną o tym nie zechce... I trawę do tych pór mieliśmy darmo, ile jej bydłatko uszczypnęło, a teraz co?... Uparła się baba mieć krowę, zacięła się, a ty choć bij łbem o ścianę... Po cóżem ja się nieszczęśliwy urodził, po com na ten świat przyszedł, żeby ino z każdej strony mieć zmartwienie!... Wio, dzieci!...

Machnął batem, targnął lejce i bronował dalej. Zdawało mu się, że kamienie i grudy ziemi znowu warczą: „durny ty, durny! ...” – a wiatr śmieje się w badyłach i szepce:

„Zapłacisz trzydzieści pięć rubli papierkami i jeszcze rubla srebrnego za postronek. Coś odłożył dzień po dniu, tydzień

po tygodniu, przez dziewięć miesięcy, to dziś wydasz od razu, jak orzech zgryzł. Grochowskiemu nowiuteńkimi pieniędzmi napęcznieje kieszeń, ale twój kapciuch schudnie. Musisz jeszcze zrobić bydlęciu żłób i drabinę, z niepewnością i strachem schylać się do nóg dziedzicowi, zapłacić za łąkę i godzinami czekać na ekonoma, żeby wydał kwit na arendę...”

– O ja nieszczęśliwy, o ja nieszczęśliwy! – mrucał chłop.
– Wio, dzieci!... Ile to groszy człek zbiera na złotówkę, ile złotówek na rubla, ile to się nachodzi, nim wydostanie nowy papierek! Wio, dzieci!... A tu jeszcze pewnie dziedzic nie zechce oddać łąki...

„Nie gadaj, nie gadaj, bo wiesz, że ci ją odda” – świergotały wróble.

– Jużci odda – odparł Ślimak z goryczą – ale każe se płacić czynsz. A przecie i bez tego nieraz bydlę uszczypnęło trawy po sąsiedzku, grosza nie wydawszy. Boże miłosierny, cóż ja mam za zmartwienie dnia dzisiejszego, co ja wydam gotowizny! ... Wolałbym najcięższe boleści aniżeli taki straszny pieniądz marnować na głupstwo.

Słońce już chyliło się ku zachodowi, kiedy Ślimak przeniósł brony na ostatnie poletko, tuż przy gościńcu. W tej chwili krowa, którą miał kupić, ryknęła; głos jej podobał się chłopu i nawet trochę pogłaskał go po sercu.

„Jużci co trzy krowy, to nie dwie – pomyślał. – Po tyliłm dobytku to i ludzie inaczej uszanowaliby człowieka. Tylko

najgorzej z pieniędzmi i z łąką. Ha, samem sobie winien²⁷...”

Przyszło mu na myśl, ile on razy, układłszy się na ławie, zamiast spać, wymyślał różne projekty i opowiadał o nich żonie! Ile razy mówił, jako musi zaprowadzić sześć pól i siał koniczynę! A ile razy chwalił się, jak to mu ludzie radzą, żeby zimą robił wozy i gospodarskie statki, do czego miał tyle zgrabności?... Wreszcie, nie onże sam wzdychał do trzeciej krowy, nie on chciał brać łąkę w arendę?...

Żona słuchała cierpliwie rok, dwa, trzy lata, aż nareszcie dzisiaj – każe mu kupić bydlę i wynająć łąkę zaraz, natychmiast. Jezu miłosierny, jaka to twarda kobieta! Ona jeszcze napędzi go kiedy do siania koniczyny albo do robienia wozów...

Dziwny był chłop ten Ślimak. Na wszystkim się rozumiał, nawet na żniwarce; wszystko zrobił, nawet naprawił młocarnię we dworze; wszystko sobie w głowie ułożył, nawet przejście do płodozmianu na swoich gruntach, ale – niczego sam nie ośmielił się wykonać, dopóki go kto gwałtem nie napędził. Jego duszy brakło tej cienkiej nitki, co łączy projekt z wykonaniem, ale za to istniał bardzo gruby nerw posłuszeństwa. Dziedzic, proboszcz, wójt, żona – wszyscy oni zesłani byli od Boga po to, ażeby Ślimakowi wydawać dyspozycje, których sam sobie wydać nie umiał. Był on rozsądny i nawet przemyślny, ale samodzielności bał się gorzej niż psa wściekłego. Miał nawet przysłowie, że: „chłopska rzecz – robić, a pańska – bawić się i rozkazywać innym”.

²⁷ *samem sobie winien* – sam jestem sobie winien. [przypis edytorski]

Słońce dotknęło czubów gór otaczających dolinę. Ślimak docierał już bronami do gościńca i rozmyślał nad tym, jak będzie targować się z Grochowskim, gdy nagle usłyszał za sobą gruby głos:

– Hej! hej!

Na gościńcu stało dwu ludzi. Jeden siwy, ogolony, w granatowej kapocie z krótkim stanem i w niemieckiej czapce z zawiniętymi brzegami – drugi młodszy, wyprostowany, z jasną brodą, w paltocie i kaszkiecie. Za nimi w pewnej odległości stał parokonny wózek, którym powoził człowiek ubrany w kaszkiet i granatową kapotę.

– To pole jest twoje? – pytał Ślimaka brodaty szorstkim tonem.

– Czekaj no, Fryc – przerwał mu starzec.

– Dlaczego ja mam czekać? – oburzył się brodaty.

– Zaczekaj. Czy to wasze grunta, gospodarzu? – zapytał stary nierównie łagodniejszym tonem.

– Jużci moje, czyje ma być? – odparł chłop.

W tej chwili przybiegł z łąki Stasiek i patrzył na obcych z nieufnością i podziwem.

– A ta łąka jest twoja? – pytał brodaty.

– Zaczekaj, Fryc. Czy to wasza łąka, gospodarzu? – poprawił go stary.

– Nie moja, dworska.

– A czyja ta góra z sosną?...

– Zaczekaj, Fryc...

– Ach, ojciec lubi tak dużo gadać...

– Zaczekaj, Fryc – mówił starzec. – Ta góra z sosną to wasza?

...

– Przecie moja, nie czyja.

– Oto widzisz, Fryc – rzekł stary po niemiecku – tu dopiero można by postawić wiatrak dla Wilhelma...

I wskazał ręką na górę.

– Wilhelm nie dlatego nie buduje wiatraka, że góry są za niskie, ale dlatego, że próżniak – odparł gniewnie nazywany Frycem.

– Proszę cię, Fryc, bądź cierpliwy. A te pola za gościńcem i tamte jary to już nie wasze? – pytał znowu starzec chłopca.

– Skądże by moje, kiedy to dworskie.

– No, tak – przerwał niecierpliwie brodaty – wszyscy wiedzą, że on siedzi na środku dworskich pól jak dziura w moście. Diabła wart cały ten interes.

– Zaczekaj, Fryc – uspokajał go stary. – Was, gospodarzu, dworskie pola ze wszystkich stron otaczają?

– Jużci tak.

– No, dosyć tego! – mruknął brodaty i pociągnął ojca do wózka.

– Bóg wam zapłać, gospodarzu – rzekł stary, dotykając ręką czapki.

– Och, jak ojciec lubi dużo gadać! – przerwał brodaty, gwałtem prowadząc go do wózka. – Z Wilhelma nic nie będzie, choćbyśmy mu dziesięć takich gór wynaleźli.

– Czego oni chcą, tatulu? – odezwał się nagle Stasiek.

– Jużci prawda – ocknął się chłop i zawołał: – Panowie! hej tam...

Starzec odwrócił głowę.

– Po co wy się wypytujecie o to wszystko?

– Bo nam się tak podoba – odparł brodaty, gwałtem sadzając ojca na wózek.

– Bywajcie zdrowi, do widzenia! – zawołał stary do Ślimaka.

Brodacz wzruszył ramionami i kazał jechać. Wózek potoczył się w stronę mostu.

– Co się też tu ludzi przewinęło dziś przez gościniec – rzekł Ślimak do siebie. – Czysty jarmark albo odpust...

– A co to za ludzie, tatulu? – zapytał Stasiek.

– Ci, co odjechali wózkiem? Musi Niemce z Wólki, o trzy mile stąd.

– Czego oni tak wypytywali się o grunta?

– Albo to się jeden pyta, moje dziecko – odparł chłop. – Innym tak się ten kraj podobał, że leźli het, aż na górę pod sosnę. Potem zleźli i tyle ich widziałem.

Ślimak skończył robotę i zawrócił konie do domu. O Niemcach już zapomniął, całą bowiem uwagę zaprzątnęła mu krowa i łąka. A gdyby też naprawdę jedną kupić, a drugą wydzierzawić?... Ciarki przeszły mu po plecach na myśl, że może spełni się to, o czym od tylu lat medytował.

Jeszcze jedna krowa i dwa morgi łąk – toż to ze trzydzieści rubli zysku na rok. Można by ziemię lepiej wynawozić, zboża

więcej sprzedawać, a na zimę sprowadzić dziada do domu, ażeby chłopców czytać uczył... A co by powiedzieli inni gospodarze na taki przybytek? Z pewnością ustępowaliby mu więcej miejsca w kościele i w karczmie niż dzisiaj. A jak by to można odpoczywać sobie przy takim majątku?...

Ach, odpoczywać! Ślimak nie znał głodu ani chłodu, w domu wszystko mu się wiodło, miał przyjaźń ludzką i sporo gotówki, i byłby zupełnie szczęśliwy, gdyby go tak nie bolały kości z pracy, gdyby mógł wyleżeć się i wysiedzieć, ile dusza zapragnie.

III

Wróciwszy na dziedziniec, Ślimak oddał brony parobkowi, a sam zaczął oglądać krowę przywiązaną do płotu. Mimo zapadającego zmroku poznał, że bydlątko jest piękne; ma na białym tle czarne łaty, niedużą głowę, krótkie rogi i wielkie wymiona. Przypatrzył się dobrze i przyznał w duchu, że żadna z jego krów nie umywała się do tej oto.

Pomyślał, że nieźle byłoby przeprowadzić ją po podwórku, ale czuł, że sił mu już nie staje. Zdawało się, że ręce wyjdą mu ze stawów i nogi chyba odpadną, gdyby ruszył z miejsca. Człowiek może harować do zachodu słońca, ale po zachodzie – musi odpocząć, to darmo. Więc zamiast oprowadzać bydlątko, pogłaskał je. Gdy zaś ono, niby przeczuwając nowego pana, zwróciło ku niemu łeb i mokrym pyskiem dotknęło mu ręki, Ślimaka ogarnęła taka rzewność, że o mało nie objął za szyję i nie ucałował krowy jak człowieka.

– Musi, że ją kupię – mruknął, zapominając o znużeniu.

We drzwiach ukazała się gospodyni z cebrem pomyj dla stworzenia.

– Maciek! – zawołała do parobka – a jak się krowa napije, zaprowadź ją do obory. Sołtys u nas zanocują, to przecie i bydlątka nie można zostawić na dworze.

– No, i co z tego? – zapytał Ślimak żony.

– A co ma być? – odparła. – Chce trzydzieści pięć rubli

papierami i rubla srebrnego za postronek.

– Ale co prawda, to prawda – rzekła po chwili – że krowa tego warta. Wydoiłam ją przed wieczorem i mówię ci, choć przyszła z drogi, dała więcej mleka niż Łysa...

Chłop znowu uczuł ból w rękach i nogach. Boże mój, ile się to trzeba nachodzić, namoknąć, nie dospać, nim człowiek zbierze trzydzieści pięć rubli papierami i jeszcze rubla srebrnego! Żeby Grochowski choć coś niecoś odstąpił...

– Nie pytałaś go się – rzekł Ślimak – nie spuści co?

– Ale-hale!... Dobrze, żeby chciał sprzedać. On wciąż gada, jako Grzybowi już dawno obiecał krowę.

Ślimak począł targać sobie włosy.

– A czy go nieszczęście dziś nastąpiło! – mówił – a cóżem ja zrobił, że mnie Pan Bóg tak ciężko karze!... Nie wiem, czy łakę dziedzic mi odda, a tu jeszcze muszę tyle płacić za krowę...

– Józek, nie bądź głupi, miej rozum – reflektowała go żona. – Przecież o łakę nieraz cię sami we dworze zaczepiali, zaś o krowę spróbuj się potargować. Spuści – nie spuści, a ty zawdy z nim wypij wódki i przyjmij go uczciwie; może mu Pan Jezus miłosierny da upamiętanie. Ino się nie rozgaduj i na mnie często spoglądaj, a zobaczysz, że będzie dobrze.

W tej chwili przywłókł się parobek i począł odwiązywać krowę od płotu.

– Cóż, Maćku – rzekła gospodyni – prawda, że piękne bydlę?

– Oho! ho!... – odparł kulawy, trzęsąc ręką w górze.

– Ale pieniądz za nią okrutny, co? – spytał gospodarz.

– Oho! ho!...

– Zawdy tyle warta, prawda, Maciek? – śpiesznie wtrąciła Ślimakowa.

– Oho! ho!...

Tyle powiedziawszy, Owczarz zaprowadził do obory krowę, która oglądając się, tak jakoś serdecznie na obie strony wywijając ogonem, że Ślimak nie mógł opanować wzruszenia.

– Wola boska – szepnął. – Spróbuję ją stargować...

I szedł ku drzwiom chaty.

– Józek – zatrzymała go żona – ino się nie rozgaduj i głowy sobie nowinami nie zaprzataj. Myśl o tym, żeby co najwięcej utargować, a jak język zanadto ci się rozmajta, spoglądaj na mnie. Bo to twardy chłop, choć i ten Wojciech; sam sobie rady z nim nie dasz.

Ślimak w progu zdjął czapkę, przeżegnał się i wszedł do sieni. Ale serce trzęsło się w nim z żalu za pieniędzmi i z niepewności, czy chociaż aby rubla wytarguje.

Gość przy świetle kominowego ognia siedział w pierwszej izbie na ławie i ojcowskimi słowy upominał Magdę, ażeby była uczciwa, pracowita i słuchała swoich gospodarzy.

– Każą ci iść we wodę – mówił – idź we wodę; każą ci w ogień skoczyć, skacz w ogień. A jeżeli cię gospodyni potrąci albo nawet dobrze zbije, to jeszcze pocałuj ją w rękę i podziękuj, bo mówię ci: święta ręka, co bije...

Mówiąc tak, przy czerwonym blasku ognia, z ręką podniesioną do góry i twarzą uroczystą, Grochowski wyglądał

jak kaznodzieja. Magdzie uwidziało się, że jego słowom przytakują nawet cienie drgające na ścianach i że mrok wieczorny, co zagląda przez okienka izby, powtarza za stryjem: „Święta ręka, co bije!”

Zanosiła się od płaczu. Zdawało się jej, że słucha najpiękniejszego kazania, to znowu, że po każdym wyrazie opiekuna występują jej sine pręgi na plecach. Pomimo to nie czuła strachu ani żalu; raczej wdzięczność pomieszaną ze wspomnieniami niedawnego, a przecie odległego dzieciństwa.

Drzwi izby skrzypnęły i w całej ich szerokości ukazał się Ślimak.

– Niech będzie pochwalony – rzekł do gościa.

– Na wieki wieków – odparł Grochowski. I podniósłszy się z ławy jak był wysoki, prawie głową dotknął sufitu.

– Bóg wam zapłać, sołtysie, żeście zaszli do nas w gościnę – mówił Ślimak, podając mu rękę.

– To wam Bóg zapłać, że nas tak uczciwie przyjmujecie – odparł Grochowski.

– A może wam tu jaka niewygoda, zaraz gadajcie.

– Ehej! w domu mi tak nie jest, i nie tylko mnie, ale nawet krowie, co ją zaraz wasza kobieta wzięła w opiekę.

– Chwała Bogu, żeście kontenci.

– W dubelt jestem kontent, bo tu, widzę, i Magdzie u was lepiej niż na całym świecie.

– Magda! – zwrócił się Grochowski do dziewczuchy – a upadnij do nóg gospodarzowi, bo rodzony ojciec nie byłby ci szerszy

od niego. A wy, kumie, nie skąpcie jej rzemienia, proszę was.

– Niezgorsza z niej dziewczucha – odparł Ślimak.

Dziewczyna, wciąż szlochając, upadła do nóg najprzód stryjowi, potem gospodarzowi i – uciekła do sieni. Tam płacz jeszcze raz ścisnął ją za piersi, ale oczy już obeschły. Powoli uspokoiła się i dla usprawiedliwienia swej ucieczki z izby poczęła niby wołać na świnię tonem przeciągłym i żalonym:

– Mal... mal... malu! malu!... maluśki!...

Ale świnię już spały. Zamiast nich wynurzył się ze zmroku pies Burek, a później Jędrak i Stasiek. Jędrak chciał dziewczynę przewrócić, lecz dostawszy pięścią w oko schwycił ją za rękę, Stasiek za drugą i polecili we czworo na gościniec. Byli tak splątani ze sobą, że w ciemności nikt by nie odróżnił, które z nich pies, a które dziecko, tym bardziej że wszyscy zaczęli wyć i szczekać na wyścigi z Burkiem. Wreszcie rozplłynęli się we mgle wiszącej nad łąkami.

W izbie, usiadłszy naprzeciw komina, rozmawiali gospodarze.

– Cóż wam wypadło – pytał gościa Ślimak – że się krowy pozbywacie?

– Widzicie, jest tak – odparł Grochowski, kładąc mu rękę na kolanie. – To krowa nie moja, ino Magdy, a kobieta dawno mi głowę suszyła, że cudzej krowy trzymać nie chce, bo i swoim już w oborze za ciasno. Ja tam na babskie gadanie nie zważałem, ale teraz trafia się taka rzecz, że sprzedają grunta po Komarze, co to rozpił się i umarł. Grunt Komara przytyka do gruntu Magdy, więc ja myślę: trzeba sprzedać krowę, a kupić za to dziewczusze

morgę ziemi. Co ziemia, to ziemia.

– Oj, prawda – westchnął Ślimak.

– A jużci. Jak zaś przyjdą nowe łaski i nadania, to i dziewczyna więcej dostanie, niżby dostała teraz.

– Jakże to? – spytał zaciekawiony Ślimak.

– Będą tyle dodawać, ile kto już ma. Ja na ten przykład mam dwadzieścia i pięć morgów, to dostanę dwadzieścia pięć. Wy ile macie?

– Dziesięć.

– To dostaniecie dziesięć. A Magda, jak będzie teraz miała dwa morgi i pół morga, to znowu dostanie dwa i pół.

– I pewne to jest z tym nadaniem?

– Kto ich tam wie – odparł Grochowski. – Jedni mówią, że pewne, a drudzy się śmieją. Ale ja sobie myślę: dodadzą czy nie dodadzą, a zawsze lepiej dokupić dziewczynie morgę, kiedy jest okazja. Tym bardziej że moja baba nie chce tego.

– Ale jeżeli mają darmo dawać ziemię, to szkoda pieniędzy na kupno – zauważył Ślimak.

– Co prawda, nie moje pieniądze, to mnie ręka o nich nie śwędzi. Wreszcie, nie kupuję ode dworu, ino od chłopa. Ode dworu nie śpieszyłbym się z kupnem, bo w takich sprawach czekać nie wadzi.

– Ma się wiedzieć – odparł Ślimak. – Głupi śpieszy się, mądry czeka.

– I wszystko robi z rozmysłem.

– I robi z rozmysłem – potwierdził Ślimak.

W tej chwili ukazała się gospodyni z kulawym Maćkiem. Poszli oboje do alkierza i wysunęli na środek stół malowany na wiśniowo. Obok niego Maciek postawił dwa drewniane krzesła, gospodyni zapaliła nafcianą lampę bez kominka i nakryła stół obrusem.

– Chodźcie tu, sołtysie – odezwała się gospodyni. – Józek, prowadźcie ich. Tu wam ładniej będzie wieczerzać.

Uśmiechnięty Maciek niezgrabnie cofnął się za komin, a dwaj gospodarze przeszli do alkierza.

– Piękna izba – rzekł Grochowski, oglądając się. – Świętych Pańskich sporo na ścianach; łóżko malowane, jest podłoga i badyłki na oknie. Pewnie to wasza sprawa, kumo?

– A czyjaż by? – odparła zadowolona kobieta. – On wciąż kręci się koło dworu albo przy mieście, a o dom nie dba. Ledwim go napędziła, że choć w alkierzu ułożył podłogę. Siadajcie, kumie, o tu, bliżej pieca, jakeście łaskawi. Zaraz podam wieczerzę.

Zwróciwszy się do komina naląła dwie miski jaglanego krupniku ze skwarkami. Mniejszą podała parobkowi, większą postawiła na nakrytym stole przed gościem.

– Jedzcie z Bogiem – rzekła do Grochowskiego – a jak czego zabraknie, to mówcie.

– A wy nie siadajcie? – spytał gość.

– Ja zjem na ostatku, z dziećmi. Maćku – zwróciła się do parobka – weźże se miskę.

Uśmiechnięty Maciek wziął swoją porcję i usiadł na ławie

naprzeciw alkierza, aby widzieć sołtysa i przysłuchać się ludzkiej rozmowie, do której tęsknił. Postawił miskę na kolanach i spoza kłębow pary patrzył z zadowoleniem na wiśniowy stół, przy którym siedzieli gospodarze, na biały obrus i blaszane łyżki, którymi jedli. Dymiący kaganek wydał mu się jednym z najpiękniejszych rodzajów oświetlenia, a stołki z poręczą najwygodniejszym sprzętem. Widok sołtysa napełniał serce Maćka czcią i dumą. Wszakże to Grochowski woził go kiedyś do losowania²⁸ i stał przy drzwiach w samej kancelarii, podczas gdy rekruci mokli na deszczu za oknem. Wszakże to on kazał go odwieźć do szpitala i zapewnił go, że będzie zdrow, gdy stamtąd wyjdzie. A kto zbiera podatki, kto w czasie procesji nosi największą chorągiew, kto intonuje w kościele na nieszporach²⁹: „Zacznijcie, wargi nasze, chwalić Pannę świętą?”. Przecie ten sam Grochowski, z którym dzisiaj on, zwyczajny Maciek Owczarz siedzi pod jednym dachem.

A jaką on ma wspaniałą postawę, jak rozpiera się na stołku. Wyciągnął nogi, lewą rękę oparł na biodrze, prawą na stole, a głowę w tył przechylił. Jak mu dobrze musi być na takim krześle z poręczą...

Aż Maciek spróbował wyprostować się, ale odepchnęła go zgorszona ściana przypominając, że on przecie nie sołtys, tylko nędzny parobek. Więc choć go grzbiet bolał z pracy, zgiał się

²⁸ *losowanie* – tu: pobór rekrutów spośród chłopstwa, który w zaborze rosyjskim odbywał się przez losowanie. [przypis edytorski]

²⁹ *nieszpory* – nabożeństwo wieczorne w kościele katolickim. [przypis edytorski]

jeszcze pokorniej i zawstydzony schował pod ławę swoje nogi, z których jedna była wykręcona, a obie w podartych butach. Zresztą, po co miał się rozpierać, jeżeli stąd o parę kroków już rozpiera się sołtys i gospodarz? Ich zadowolenie wystarczało Maćkowi; więc zaczął półgębkiem jeść krupnik, a rozmowy słuchać obu uszami.

– Po prawdzie mówiąc – rzekła gospodyni – po co wam sołtysie, ciągnąć krowę aż na wieś do Grzyba?

– Bo on chce kupić – odparł Grochowski.

– Może byśmy i my kupili.

– Nawet by tak wypadało – wtrącił Ślimak. – Jest u nas dziewczucha, niechby więc była i jej krowa.

– Prawda, Maćku, że tak by właśnie wypadało? – powtórzyła za mężem gospodyni, zwracając się do parobka.

– Oho! ho!... – roześmiał się Maciek, aż mu gorący krupnik spłynął z łyżki po brodzie.

– Co racja, to racja – westchnął Grochowski. – Sam nawet Grzyb miałby chyba wyrozumienie, że krowa nade wszystko powinna iść tam, gdzie jest dziewczucha.

– To ją noma³⁰ sprzedajcie – podchwycił Ślimak.

Grochowski opuścił łyżkę na stół, a głowę na piersi. Chwilę podumał, wreszcie rzekł tonem rezygnacji:

– Ha, trudno! Jak się uprzecie, to muszę wam krowę sprzedać, nic nie pomoże. U kogo dziewczucha, u tego i krowa, to darmo.

– Ale nam coś opuście – prędko dodała gospodyni,

³⁰ *noma* (gw.) – nam. [przypis edytorski]

przymilając się do Grochowskiego.

Sołtys powtórnie zadumał się.

– Widzicie, tak – rzekł. – Żeby to moje bydłę, to bym opuścił. Ale to przecie dobytek biednej sieroty, co ją ojciec i matka odumarli. Jakże ja ją mogę krzywdzić?... Zatem – dajcie trzydzieści pięć rubli papierkami i rubla srebrnego za postronek i – niech krowa zostanie u was.

– Niezmierny to grosz – westchnął Ślimak.

– Ale krowa śliczności – odparł sołtys.

– Pieniądz siedzi w skrzyni i jeść nie woła.

– Ale mleka nie daje.

– Dla tej krowy musiałbym wziąć ode dworu łąkę w arendę.

– To przecie wam lepiej wyniesie aniżeli kupować paszę.

Zapanowało dłuższe milczenie, po którym nagle odezwał się

Ślimak:

– No, kumie sołtysie – powiedzcie ostatnie słowo...

– Mówię wam: dajcie trzydzieści pięć rubli papierkami i rubla srebrnego za postronek, a krowę ostawię. Grzyb będzie zły na mnie, ja wiem; ale dla was muszę to zrobić. Macie dziewczuchę, miejcie i krowę.

Gospodyni sprzątnęła miskę ze stołu, a następnie weszła do komory. Po niedługiej chwili wyniosła stamtąd flaszkę wódki i dwa kielichy, a na talerzu wędzoną kiełbasę i widelec z wyłamany zębem.

– Do was, kumie – rzekł Ślimak, nalewając wódkę.

– Pijcie z Bogiem.

Wypili i w milczeniu zaczęli gryźć suchą kiełbasę, położywszy na talerzu widelec. Na widok wódki zrobiło się Maćkowi tak przyjemnie, że aż westchnął. Następnie włożył obie ręce za pazuchę i nieco wysunął nogi spod ławy. Potem przyszło mu na myśl, że sołtys i gospodarz muszą być w tej chwili bardzo szczęśliwi, więc – i on czuł się szczęśliwym.

– Już nie wiem, co robić – mówił Ślimak – czy brać krowę, czy nie? Tyleście, sołtysie, zacenili³¹, że mnie i ochota odchodzi.

Grochowski niespokojnie poruszył się na stołku.

– Mój kumie – rzekł – moi złoci, co ja pocznę, kiedy to sierocy interes? Ja Magdzi muszę grunt kupić choćby dlatego, że się to mojej babie nie podoba.

– Za morgę nie dacie trzydziestu pięciu rubli, teraz ziemia tania.

– Ale zdrożeje, bo ma być w naszej gminie jakaś nowa droga i Niemcy skupują grunta.

– Niemcy? – powtórzył Ślimak. – Przecie oni już kupili Wólkę.

– To ją sprzedadzą innym Niemcom, a sami przybliżą się do nas.

– Byli tu dziś u mnie na polu dwa Niemce i dużo się wypytywali, alem nie zrozumiał, czego chcą – rzekł Ślimak.

– A widzicie. Chcą tu wleźć. Jak zaś osiadzie jeden, to zara³²

³¹ *Tyleście (...) zacenili* – tyle zaceniliście, tj. tak wysoko wyceniliście. [przypis edytorski]

³² *zara* (gw.) – zaraz; od razu. [przypis edytorski]

za nim ciągną inni jak mrówki do miodu i ziemia drożeje.

– Czy oni aby umieją chodzić około roli?

– Jeszcze i jak! Nawet więcej mają *prefitu*³³ aniżeli chłop, co się tu urodził – odparł Grochowski.

– Osobliwość!...

– Ho, ho! Niemcy to mądre. Mają dużo bydła, sieją koniczynę, a w zimie robią rzemiosło. Chłop przy nich nie wytrzyma.

– Ciekawość, jakiej oni wiary, bo gadają między sobą jak Żydy?

– Wiara ich lepsza jest od żydowskiej – odparł sołtys po namyśle – ale co nie katolicka, to nie. Wiem, że mają kościół jak i my, z ławkami i z organami. Ale ksiądz u nich jest żonaty i chodzi w surducie, a w wielkim ołtarzu, gdzie powinien być Bóg Ojciec, to u nich stoi tylko Pan Jezus ukrzyżowany jak u nas w kruchcie.

– To gorsza wiara od naszej.

– Gorsza – potwierdził Grochowski – bo nawet i nie modlą się do Matki Przenajświętszej.

– Ach, Matko Przenajświętsza! – szepnęła gospodyni.

Ślimak i Grochowski westchnęli pobożnie, a Maciek przeżegnał się.

– Że też takim Pan Bóg miłosierny błogosławi – zauważył Ślimak. – Pijcie, kumie.

– Za wasze zdrowie. Co im Pan Bóg nie ma błogosławić, kiedy bydła mają dużo? To jest fundament!

³³ *prefit* a. *profit* – dochód, zysk. [przypis edytorski]

Ślimak zamyślił się i nagle uderzył ręką w stół.

– Kumie sołtysie! – zawołał podniesionym głosem – sprzedajcie mi krowę.

– Sprzedam! – odparł Grochowski i równie uderzył o stół ręką.

– Dam wam... trzydzieści i jeden rubli... jak was kocham. Grochowski uściśnął go.

– Dajcie, bracie, trzydzieści... trzydzieści – no i cztery ruble papierkami i rubla srebrnego za postronek.

Do izby ostrożnie wsunęły się zmęczone dzieci. Gospodyni nałata im krupniku i zaprowadziła do najdalszego kąta zalecając spokój. Istotnie, przez cały czas było bardzo spokojnie, wyjąwszy chwilę, w której Stasiek spadł z ławki, a Jędrzek dostał od matki szturchańca. Za to Magda sprawowała się jak trusia, a Maciek drzemał, marząc, że siedzi w alkierzu na stołku z poręczą i pije wódkę. Czuł, że trunek coraz mocniej uderza mu do głowy, że pod jego wpływem on, Maciek, rozpiera się nie gorzej od Ślimaka i że gwałtem chce pocałować sołtysa!... Wtedy drgnął i obudził się zawstydzony.

Z alkierza do izby płynął zapach wódki i swąd dopalającego się kaganka. Ślimak i Grochowski siedzieli tuż przy sobie.

– Kumie... sołtysie... – mówił Ślimak wybijając pięścią. – Dam ci, ile sam zechcesz, zatem... powiedz ostatnie słowo. Twoje słowo warte u mnie więcej niż pieniądz, boś ty mądry... Ty jesteś najmądrzejszy w całej gminie. Wójt to świnia... U mnie ty jesteś wójt, a nawet lepszy od samego komisarza, boś

ty mądry... Najmądrzejszy w całej gminie, żeby mnie paralusz³⁴ tknął!

Opletli się ramionami, a Grochowski – zapłakał.

– Józek!... bracie!... – mówił – nie nazywaj mnie sołtysem, ino bratem, bom ja twój brat, a tyś mój brat...

– Wojciechu... sołtysie... Gadaj, ile chcesz za krowę?... Dam ci, żebym miał sobie z wnętrza³⁵ wypruć.

– Trzydzieści i pięć rubli papierkami i rubla srebrnego za postronek.

– O la Boga! – odezwała się gospodyni. – A przecie dopiero co dawaliście krowinę za trzydzieści i trzy ruble?

Grochowski podniósł zalane łzami oczy najprzód na nią, potem na Ślimaka.

– Oddawałem? – spytał. – Józek, bracie... czy oddawałem ci krowę za trzydzieści trzy ruble?... Dobrze!... oddaję... bierzcie... Niech zmarnieje sierota, byleś ty, mój bracie, miał porządną krowę, jak się patrzy.

Ślimak jeszcze mocniej uderzył pięścią w stół.

– Ja mam zarabiać na sierocie?... Nie chcę!... Dam trzydzieści pięć rubli i rubla za postronek.

– Co ty gadasz, głupi?... – reflektowała³⁶ go żona.

– Nie bądź głupi!... – poparł ją Grochowski. – Takeś mnie ugościł, takeś mnie przyjął, że ci oddam krowę za trzydzieści i

³⁴ *paralusz* (gw.) – paraliż. [przypis edytorski]

³⁵ *z wnętrza* – z wnętrzości. [przypis edytorski]

³⁶ *reflektować kogo* – uprzytamniać komuś coś. [przypis edytorski]

tryz ruble. Amen, to moje słowo.

– Nie chcę!... – wrzeszczał Ślimak. – Ja nie Żyd, żebym brał za gościnność.

– Józek!... – mówiła żona.

– Poszła baba! – krzyknął, z trudnością podnosząc się ze stołka. – Dam ja ci mieszać się do moich interesów...

Nagle wpadł w objęcia płaczącemu Grochowskiemu.

– Trzydzieści i pięć rubli papierkami i rubla srebrnego za postronek!... – zawołał.

– Żebym z piekła nie wyrzwał, nie chcę... Trzydzieści i trzy... – szlochał Grochowski.

– Józek! – znowu odezwała się żona. – Przecie uszanuj gościa... Przecie on starszy od ciebie, on sołtys, jego tu wola, nie twoja... Maćku – zwróciła się do parobka – a pomóż mi odprowadzić ich do stodoły.

– Sam pójdę!... – ryknął Ślimak.

– Trzydzieści trzy ruble!... – jęczał Grochowski. – Zabij mnie... porąb na drobne kawałki, ale grosza więcej nie wezmę... Ja pies, ja Judasz, ja cię chciałem oszwabić i dlatego mówię, że do Grzyba krowę prowadzę... Alem ją prowadził do ciebie, boś ty mój brat...

Wzięli się obydwaj pod ręce i wyszli z alkierza, zmierzając zrazu do okna. Lecz gdy Maciek otworzył im drzwi do sieni, po kilku mniej pomyślnych próbach wydostali się na dziedziniec.

Gospodyni zapaliwszy latarnię wzięła z komory płachtę i poduszkę, ażeby posłać Grochowskiemu w stodołę. Otóż idąc

przez podwórko zobaczyła dziwną scenę. Ślimak leżał na kupie gnoju i zachęcał Grochowskiego do spania, a sołtys klęczał przy nim i ocierając łzy sukmaną mówił pacierz. Nad obydwojma stał zakłopotany parobek.

– Musieliście im coś mocnego zadać – rzekł do gospodyni.

– Wypili flaszkę okowity³⁷.

– Oho! ho!...

– Wstawaj, ty pijaku! – zawołała kobieta do męża.

– Nie wstanę! – odparł z gniewem – a ty, babo, uciekaj, pókiś cała. Skończyły się babskie rządy!... Kupiłem krowę i wezmę od jaśnie pana łakę... Tera nastąpią moje rządy.

– Józek, podnieś się – mówiła gospodyni – bo ci wody na łeb naleję.

– Ja ci naleję, jak wezmę do garści biczyśko!... – odparł Ślimak.

Grochowski upadł mu na piersi i zaczął go całować.

– Wstań, bracie – błagał go – nie rób piekła w domu, żeby nas obu nie spotkało zmartwienie.

Parobek nie mógł wydziwić się, widząc, jak wódka zmienia ludzi. Sołtys, w całej gminie znany z twardego charakteru, płakał jak dziecko, a znowu Ślimak nie chciał się podnieść z gnoju, krzyczał jak ekonom i jeszcze groził kobiecie, że teraz nastąpi jego rządy!...

– Chodźcie, sołtysie, do stodoły – rzekła Ślimakowa, ujmując za rękę Grochowskiego.

³⁷ okowita – wódka; źródłosłów: *aqua vitae* (łac.), woda życia. [przypis edytorski]

Olbrzym podniósł się cichy jak owieczka i prowadzony pod jedno ramię przez Maćka, pod drugie przez Ślimakową, szedł, gdzie kazano. Gospodyni na największej kupie siana urządziła mu piękne spanie; ale tymczasem zmorzony sołtys runął na klepisko i tam został, skąd żadną miarą nie można go było podźwignąć.

– Ty, Maćku, idź se na swoje posłanie – rzekła do parobka Ślimakowa – a ten pijak – dodała wskazując na męża – niechaj śpi w gnoju, kiedy zrobił taki bunt.

Posłuszny parobek za chwilę zniknął we wnętrzu stajni. Gdy zaś na dziedzińcu wszystko ucichło, począł wyobrażać sobie dla rozrywki, że on sam jest pijany.

– Tu będę spał! – mruczał, udając Ślimaka. – Tera moje rządy nastają...

Potem przedstawił sobie, że jest sołtysem, ukląkł przy nędznej pościeli i zaczął przemawiać do niej tklwym głosem, zupełnie jak sołtys do Ślimaka:

– Wstań, bracie, nie rób piekła w domu, bo nas obu spotka zmartwienie...

Ażeby jeszcze lepiej udać Grochowskiego, usiłował przymusić się do płaczu. Z początku nie szło mu, ale gdy przypomniał sobie wykręconą nogę – i to, że jest najnędzniejszym stworzeniem na świecie – i to, że mu gospodyni nawet kieliszka wódki nie dała, prawdziwe łzy popłynęły mu z oczu. I tak zasnął w barłogu, splakany jak dziecko na kolanach matki.

Około północkska Ślimak ocknął się. Poczuł, że mu cięży głowa i że jest mokro. Otworzył oczy – ciemno; wyteżył słuch, wyciągnął rękę i poznał, że deszcz pada; spróbował usiąść i przekonał się, że ma nogi wyżej niż głowę.

Stopniowo zaczęła mu wracać pamięć. Przypomniał sobie sołtysa, krowę w czarne łaty, jaglany krupnik i wielką flaszkę wódki. Co się stało z wódką? – tego nie był pewny, ale widział, że jest mu jakoś niezdrowo i że niezawodnie zaszkodził mu krupnik, który był bardzo gorący.

– A zawdy gadam, żeby na noc jagłów³⁸ nie gotować, bo najdłużej zatrzymują w sobie gorącość – mruknął i podniósł się z trudnością.

W tej chwili już nie wątpił, że znajduje się na podwórku, przy kupie gnoju.

– To ci mnie rzuciło!... – stęknął. – I nie dziwota. Najgorsza rzecz na świecie, kiedy wódka pomiesza się z upałem. Przecie jagły to czysty ogień...

Noc była tak ciemna, że ledwie dojrzał ścianę chaty. Zbliżył się do niej powoli, jakby wahał się, i przez chwilę usiadł w progu, opierając na dłoniach ciężką głowę. Ale deszcz stawał się coraz nieznośniejszy, więc Ślimak zdecydował się wejść.

Przystanął w sieni i usłyszał chrapanie Magdy. Potem ostrożnie otworzył drzwi izby, które nie tylko skrzypnęły, ale zaryczały jak krowa. W tej samej chwili owionął go taki zaduch i gorąco, że uczył się jeszcze bardziej sennym i bądź co bądź,

³⁸ jagły – kasza jaglana. [przypis edytorski]

zaprzagnął dostać się do postania.

W pierwszej izbie, na ławie pod oknem, dyszał Stasiek, ale w alkierzu było cicho. Ślimak poznał, że żona nie śpi, i po omacku dostał się do łóżka.

– Posuń się, Jagna – rzekł, wysilając się na głos surowy, choć go strach ogarniał.

Milczenie.

– No... posuńże się trochę...

– Pójdiesz ty, pijaku, pókim dobra...

– Gdzież mam pójść?

– Idź na gnojowisko albo do chlewa, bo tam twoje właściwe miejsce – odparła rozgniewana kobieta. – Zachciało ci się rządów, to se rządz, ale ode mnie wara ci, ty opoju!... Wygrażałeś mi biczyskiem, poczekaj, nie daruję ja ci tego...

– O! co tam dużo gadać, kiedy ci się nic nie stało – przerwał chłop.

– Nic się nie stało?... A kto uparł się płacić za krowę trzydzieści i pięć rubli i jeszcze rubla za postronek, kiedy sam Grochowski byłby ją oddał za trzydzieści?... Ledwim u niego wymolestowała, że weźmie tylko trzydzieści i trzy... To u ciebie trzy ruble nic nie znaczą?...

Ślimak już nie słuchał. Choć było ciemno, złapał się za głowę zmartwiony i cofnął się aż do izby, gdzie spał Stasiek. Tam upadł na ławę i akurat przygniótł nogi chłopcu.

– To wy, tatulu? – spytał obudzony chłopak.

– Jużci ja.

– A co wy tu robicie?

– Tak se usiadłem, bo mnie cosik trapi na wewnątrz.

Chłopak podniósł się i objął go rękami za szyję.

– Dobrze, żeście usiedli – rzekł – bo wciąż po mnie chodzą te Niemce.

– Jakie?

– A te dwa, co byli u nas w polu: stary i z brodą. Nic do mnie nie gadają, czego chcą, ino mnie depczą.

– Śpij, dziecko, tu nie ma nijakich Niemców.

Stasiek jeszcze mocniej przytulił się do ojca, a że i Ślimaka sen zmorzył, więc obaj upadli na ławę i chłopak znowu zaczął gawędzić.

– Prawda, tatulu – spytał ojca półgłosem – że woda widzi?

– Co ma widzieć?

– Wszystko, wszystko... Niebo, nasze góry i was także widziała, jakeście chodzili za bronami...

– Śpij, dziecko, nie gadaj od rzeczy – uspokajał go Ślimak.

– Widzi, widzi, tatulu, sam przecie patrzyłem – wyszeptał i zasnął.

Ślimakowi było w izbie za gorąco. Rozmarzony, wywlókł się z chaty i jakby nie na swoich nogach zatoczył się do stodoły. Tu potknął się o Grochowskiego i po kilku próbach trafił do sterty słomy, gdzie utonął tak głęboko, że mu nie było widać nawet butów.

– Ale com krowę kupił, tom kupił – mruknął sobie na dobranoc.

IV

Na drugi dzień obudziło Ślimaka w stodole wołanie żony:

– Długo się ta będziesz wylegiwał?

– Albo co? – zapytał spod słomy.

– Pora iść do dworu.

– Wołali me³⁹?

– Co cię mieli wołać. Sam przecie musisz do nich iść o tę łąkę.

Chłop stęknął, ale podniósł się i wyszedł na klepisko.

Twarz miał nabrzęką, wejrzenie zawstydzone i sporo słomy we włosach.

– O! widzisz, jak to wygląda – mówiła zgryźliwa żona. –

Sukmanę ma zawalaną i przemokłą, bućców całą noc nie zdejmował i patrzy na człowieka jak ten zbój. W konopiach ci stać, nie gadać z dziedzicem. Ogarnijże się, nim pójdziesz.

Po tych słowach zawróciła do obory, a Ślimakowi ciężar spadł z serca, że się na tym skończyło. Myślał, że będzie natrzasać się z niego do południa.

Wyjrzał na dziedziniec. Słońce stało wysoko i ziemia po nocnym deszczu wyschła. Od jarów pociągał wiatr niosący śpiewy ptaków i jakiś zapach wilgotny i wesoły. Przez tę noc pola gęściej zazieleniły się, z drzew powyskakiwały listki, niebo było odświeżone i zdawało się chłopu, że ściany jego chaty są bielsze.

³⁹ me (gw.) – mnie. [przypis edytorski]

– Śliczności dzień – mruknął, czując otuchę i poszedł do izby ubierać się. Wyrzucił słomę z włosów, wdział świeżą koszulę i nowe buty. Ponieważ jednak widziały mu się nie dosyć czarne, więc wziął w palce kawałek sadła i wytarł nim najprzód włosy, a później buty od cholew do obcasów. Staął wreszcie przed lusterkiem i patrząc kolejno to na nogi, to na odbicie swojej fizjonomii w zwierciedle, uśmiechnął się, kontent, że taki blask bije mu od głowy i obuwia. W dodatku coś mu szeptało, że wobec tak wypomadowanego chłopca dziedzic nie wytrzyma i – wypuści mu łąkę w arendę.

W tej chwili weszła żona, a obrzuciwszy go pogardliwym spojrzeniem, rzekła:

– Cóżes się wyświechtął, że śmierdzi od ciebie sadło jak powietrze. Nie wolałbyś się umyć i uczesać?

Uznawszy słusność tej uwagi Ślimak wyjął spoza lusterka gęsty grzebień i przygładził nim włosy, że świeciły nie gorzej od najjaśniejszego szkła. Potem starannie umył się mydłem, aż od zatłuszczonych palców zostały mu ciemne smugi na szyi.

– A gdzie Grochowski? – zapytał weselszym tonem żony, bo zimna woda dodała mu humoru.

– Poszedł.

– A jakże z pieniędzmi?

– Zapłaciłam mu. Ale nie chciał wziąć trzydziestu trzech rubli, tylko trzydzieści dwa: bo mówił, że kiedy Chrystus Pan trzydzieści i trzy lata żył na świecie, więc za krowę nie wypada brać tyle.

– Jużci prawda – potwierdził Ślimak, chcąc teologiczną erudycją zaimponować kobiecie.

Ale ona odwróciła się do komina i wydobywszy stamtąd garnczek jęczmiennego krupniku z mlekiem, podała go niedbale mężowi, mówiąc:

– No, no... nie gadaj, ino podjedz se i idź do dworu. A targuj się tak jak wczoraj ze sołtysem, to ci coś powiem!... – dodała ironicznie.

Upokorzony chłop wziął się do jedzenia, a tymczasem żona wydobyła ze skrzyni pieniądze.

– Naści dziesięć rubli – mówiła. – To panu daj do garści, a resztę odnieś mu jutro. Uważaj zaś, ile ci powie za łakę, i zaraz pocałuj go w rękę, obejmij za nogi i proś, żeby choć ze trzy ruble opuścił. Nie odstąpi trzech rubli, to choć wytarguj z rubla; ale póty ich obejmuj, i jego, i jaśnie panią, aż coś opuszczą. Będziesz pamiętał?

– Co nie mam pamiętać! – odparł. I widocznie powtórzył sobie w myśli przestrogi żony, bo nagle przestał jeść i począł z lekka wybijać do taktu łyżką.

– No, nie medytuj, ino wdziewaj sukmanę – odezwała się znowu kobieta. – A chłopców weź ze sobą.

– Oni tam po co?

– Po to, żeby prosili razem z tobą, i po to, żeby mi Jędrak powiedział, jakie się targował... Teraz wiesz po co?

– Choroba z tymi babami – mruknął Ślimak, widząc, że żona wszystko z góry ułożyła. A w duchu dodał: „Psiakość, jaki to u

niej rozum i rozkazanie! Zaraz znać, że ojciec był włodarzem”.

Z niemałym trudem wciągnął nowiuteńką sukmanę, przy kołnierzach i kieszeniach wyszytą kolorowymi sznurkami, i opasał się pięknym rzemiennym pasem, szerokim bez mała na dwie dłonie. Następnie zawiązał dziesięć rubli w szmatkę i włożył ją za pazuchę; że zaś chłopcy byli od dawna gotowi, więc opuścili dom we trójkę, idąc gościńcem do dworu.

W chwilę po ich wyjściu Ślimakowej zrobiło się smutno; wybiegła zatem przed wrota jeszcze trochę popatrzeć na swoich. I widziała, jak środkiem drogi, zasadziwszy ręce w kieszenie, z głową do góry zadartą, sunie mąż, za nim po lewej stronie Stasiak, a po prawej Jędrak. Potem zdawało się jej, że Jędrak dał jakby w łeb Staśkowi, skutkiem czego sam znalazł się po lewej ręce ojca, a Stasiak po prawej. Później tak się coś zakotłowało, jakby Ślimak dał w łeb Jędrkowi, po czym Stasiak szedł znowu po lewej ręce ojca, a Jędrak także po lewej, ale już rowem, skąd pięścią wygrażał małemu bratu.

– Widzisz ich, jaką se zabawę znaleźli – szepnęła, uśmiechając się kobieta i wróciła do izby nastawiać obiad.

Ułagodziwszy pięścią nieporozumienie między synami, Ślimak począł sobie nucić, a nawet zaśpiewał półgłosem:

Nie masz ci to, nie masz,
Jako dworakowi:
Siedzie na konika,
Jedzie ku dworowi.

Chwilę pomyślał i znowu zaśpiewał, ale na przeciąglejszą nutę:

O dejdydy, dejdydy,
Wsadzili mię do biędzy,
A do biedy, do jakiej?...

Tu urwał i westchnął, czując, że nie ma chyba piosenki, która by zakrzyczała jego niepokój: co będzie z łąką? czy mu ją pan wypuści, czy nie wypuści warendę?

Właśnie teraz przechodzili koło niej. Ślimak spojrział i aż się zląkł, taka dziś wydawała się piękna i niedostępna. Odżyły mu w pamięci wszystkie kary, jakie zapłacił za swoje bydło, które parobcy dworscy zajmowali na tej łące, wszystkie napomnienia i pogróżki dziedzica. Tajemniczy głos szeptał w nim czy poza nim, że gdyby ów szmat ziemi leżał gdzieś dalej i zamiast siana rodził piasek albo tatarak, to może łatwiej oddano by go w dzierżawę. Ale łąka zbyt wiele przedstawia wygód, ażeby nie miała budzić w nim pesymistycznych wątpliwości.

– Iii... co tam! – mruknął, spluwając z wielką fantazją – przecie mnie sami nieraz namawiali, ażebym ją wziął. Nawet mówili, że i mnie, i im będzie lepiej.

Tak jest, ale kiedyż to zachęcali go do dzierżawy? – wówczas, gdy o nią nie prosił. Dzisiaj, gdy łąka jemu jest potrzebna, mogą targować się albo wcale jej nie oddać.

Dlaczego?... Kto ich tam wie. Dlatego, że chłop panu, a pan chłopu zawsze musi robić na przekór. Już takie urządzenie

świata.

Przyszło mu na myśl, ile on razy drożył się z robotą albo wspólnie z innymi gospodarzami nie chciał godzić się z dworem o skasowanie leśnych służebności – i poczuł skruchę. Mój Boże, jak to pięknie mawiał do nich dziedzic:

„Żyjmy teraz zgodnie po sąsiedzku, oddawajmy sobie usługi...”

Wówczas oni odpowiadali: „Co my tam za sąsiedzi. Jaśnie pan to pan, a chłopci to chłopci... Jaśnie panu patrzyłby się inny szlachcic, a nam inny chłop za sąsiada...”

Na to dziedzic: „Pamiętajcie, chłopcy, że jeszcze przyjdzie koza do woza...”

Na to Grzyb odpalił mu w imieniu gromady:

„A już przychodziła koza, jaśnie panie, kiedy pan chciał swój las uwolnić od chłopskiego dozoru”.

Szlachcic milczał, ale wąsy mu się strasznie ruszały, więc pewnie tego słowa nie zapomni.

– Zawsze mówiłem Grzybowi – westchnął Ślimak – żeby tak nie pyskował. Teraz pewniakiem ja zapłacę za jego hardość.

W tej chwili Jędrzek rzucił kamieniem na jakiegoś ptaka. Ślimak obejrzał się i smutne dumania nagle zmieniły kierunek.

„Co nie ma łąki wypuścić? – myślał. – Przecie on wie, że mu się nieraz robi szkodę i że jej nie upilnuje, choćby miał drugie tyle parobków. Z niego szlachcic mądry, oho! jeszcze jaki... I nawet dobry pan: prędzej sam straci, niżby kogo miał skrzywdzić... Niczego pan!...”

Wnet jednak nowa fala powątpiewań załaziła mu duszę.

„Ale zawdy – myślał – on to rozumie, że będzie mi lepiej z łąką niż bez łąki. Zaś żadnemu panu nie jest miło, kiedy chłop ma się lepiej, bo przez to dworowi ubywa robotnika”.

Nowa zmiana w medytacji, bo oto Ślimak przypomniał sobie, że za dzierżawę może nie płacić gotówką, ale robotą.

– Juźci, że tak! – mruknął rozweselony. – Przecie mogę mu rzec: „Czy to ja u jaśnie pana nie robię albo czy kiedy robić przestanę?...” Inni gospodarze nie chodzą do dworu, tylko ja, więc czego miałby mi żałować kęsa łąki? Mało on wreszcie ma tych łąk, jak i każdego innego gruntu?... Ja zawdy będę chłopem i najemnikiem, a on panem, choćby mi nawet darował te dwa morgi, nie tylko wypuścił w arendę.

I znowu zanucił:

Zakukały kukaweczki
Na gruszy, na gruszy;
Powiadały sąsiadeczki,
Że ja najgłupszy, najgłupszy!

Ostatni wiersz wymruczał całkiem niewyraźnie, ażeby nie osłabić własnej powagi wobec dzieci.

Nagle zwrócił się do Staśka z zapytaniem:

– Cóż ty się tak wleczesz, jakby cię na stójkę pędzili, i nic nie gadasz?

– Ja? – ocknął się Stasiek. – Ja sobie myślę, po co my idziemy do dworu?...

– A może nie chciałbyś tam iść?

– Nie, bo czegoś strach...

– Czego ma być strach? Przecie we dworze ładnie! – ofuknął go Ślimak, ale i sam otrząsnął się, jakby go zimno owiało.

Wszelako opanował niepokój i zaczął wyjaśniać synowi:

– Widzisz, dziecko, jest tak. Wczoraj kupiliśmy od sołtysa krowę za trzydzieści i dwa ruble (chciał, para, trzydzieści pięć i srebrnego rubla za postronek! – ale jakem go wziął na rozum, tak opuścił). Zatem widzisz, synku, dla nowej krowy potrzeba siana i z takiej racji musimy prosić dziedzica, ażeby nam łąkę wypuścił w arendę. Teraz wszystko rozumiesz?

Stasiek pokiwał głową.

– To rozumiem – odparł – ino jeszcze nie wiem: co sobie myśli trawa, jak ją bydłę zagarnie jęzorem i weźmie na zęby?...

– Co ma myśleć, nic nie myśli.

– Ale!... – mówił dalej Stasiek – tak nie może być, żeby ona nic nie myślała. Kiedy ludzie we święto stoją na cmentarzu, a patrzeć na nich z daleka, to widzi się, że wyglądają jak trawa albo krzaki: bo są między nimi i zielone, i czerwone, żółte i różne, jak między ziołami w polu. Więc żeby wtedy jaki straszny bydlak po cmentarzu przejechał jęzorem, to może by nic nie myśleli?...

– Ludzie by krzyczeli, a trawa przecie nic nie mówi, jak ją ścinać – odparł Ślimak.

– Jakże nie mówi? Kiedy łamać nawet suchy kij, to on trzeszczy – a jak giąć świeżą gałąź, to się ona drze i nie daje – a jak rwać trawę, to piszczy i nogami trzyma się ziemi.

– O, kiedy bo tobie zawsze dziwności chodzą po głowie! – przerwał Ślimak. – Żeby tak człowiek z każdym gadał: czy on chce, czy nie chce iść pod kosę? – to by sam nie zjadł i bydłęcia by nie nakarmił, i wszystko by zmarniało.

– A ty, Jędrak, możesz nierad, że idziesz do dworu? – zapytał drugiego chłopaka.

– Albo to ja idę? Wy idziecie – odparł Jędrak, wzruszając ramionami. – Ja bym ta nie chodził.

– A cóż byś zrobił? Listu byś przecie nie napisał, boś panu nie równy i pisać nie umiesz.

– Skosiłbym se trawę i zwiózłbym na podwórek. Niechby on szedł do mnie, nie ja do niego.

– A jakże byś ty śmiał kosić pańską trawę?

– Jaka ona pańska! Czy to dziedzic ją posiał albo czy łąka jest przy jego chałupie?...

– A widzisz, żeś głupi, bo łąka jest pańska, tak jak i wszystkie pola.

Wskazał ręką na horyzont.

– Juźci niby jego – odparł Jędrak – dopóki mu kto nie zabierze. Przecie ja wiem, że i wasze dzisiejsze grunta i chałupa były pańskie, a dziś są wasze. Tak samo z łąką. Co on lepszego, że chociaż nic nie robi, ma ziemi za stu chłopów?

– Ma, bo ma.

– A dlaczegóż wy tyle nie macie albo Grzyb, albo inny?

– Bo on jest pan.

– Dużo z tego! Żebyście wy, tatulu, ubrali się w surdut i

nogawice wyciągnęli na buty, to by z was był także pan. Ale gruntu tyle, co on, nie macie.

– Mówię ci, żeś głupi! – oburzył się Ślimak.

– Ja jeszcze głupi, to prawda, bom się nie uczył. Ale Jasiak Grzyb przecie mądry, bo nawet pisał przy kancelarii. A co on gada? Gada, że musi być równość, a będzie wtedy, jak chłopom panom grunta zabiorą i każdy będzie miał swoje.

– I Jasiak głupi, bo jakby wszyscy mieli swoje, to by nikt u innego nie chciał robić. Jasiak świata nie poprawi. Niech lepiej patrzy, żeby ojcu pieniędzy ze skrzyni nie wykradał i po mieście nie latał od szynku do szynku. Mądry on dysponować cudzym. Moje oddałby Owczarzowi, pańskie wzięłby sam, ale swego nie wypuściłby z garści. Już niech se będzie, jak Pan Bóg miłosierny stworzył, a Kościół święty naucza, a nie jak chcą Grzybowie, stary i młody.

– Albo dziedzicowi dał grunta Pan Bóg? – bąknął Jędrak.

– Pan Bóg taki rząd postanowił na świecie, żeby nie było równości. Dlatego jest niebo wyżej, ziemia niżej – sosna wielka, a leszczyna mała, a trawa jeszcze mniejsza. Dlatego i między ludźmi jeden jest stary, drugi młody – jeden ojciec, drugi syn – jeden gospodarz, drugi parobek – jeden pan, drugi chłop.

Odetchnął zmęczony i ciągnął dalej:

– Ty se patrzaj, jak jest nawet między mądrymi psami, gdzie ich dużo chodzi po podwórku. Wyniosą z kuchni ceber pomyjów i zara do nich przyjdzie jeden najpierwszy, co jest najmocniejszy, i ten zje, a inne czekają oblizujący się, choć

widzą, że on wyjada część najlepszą. Dopiero kiedy tamten podjadł sobie, aż napełniał, idą drudzy. Każdy wsadza łeb ze swojej strony i zje, ile na niego przypadnie, nie swarząc się. Ale gdzie psy głupie, to zara wszystkie lecą do cebra, drą się między sobą i więcej mają podartych pysków niż jedzenia. Bo albo ceber wywróca i strawę rozleją, albo zawdy zdybie się jeden najmocniejszy, co ich odpędzi. On sam na takim gospodarstwie ma niedużo, a inni wcale nic.

Tak byłoby i ludziom, gdyby każdy ino patrzył drugiemu w gębę i wołał: „Oddawaj, boś zjadł więcej!...” Najmocniejszy rozpędziłby innych, a słabszy umarłby z głodu. Dlatego jest postanowienie boskie, żeby każdy pilnował swoich gruntów, a cudzych nie zabierał.

– A przecie już raz chłopom ziemię rozdawali.

– Rozdawali nie raz, ino dwa razy, i jeszcze może rozdadzą, ale po trochu i z uwagą, żeby każdy dostał to, co mu się należy, nie zaś żeby lada jaki chwycił, co mu się podoba. Tak postanowił Pan Bóg miłosierny, że na świecie musi być kolej i porządek.

– Jaki tam porządek, kiedy Grzyb dostał od razu trzydzieści morgów, a wy ledwie siedem! – rzekł Jędrek.

Ślimak przystanął na drodze chcąc trochę wypocząć. Poprawił czapki, lewą ręką ujął się pod bok, a prawą wskazał na wzgórze i mówił:

– Widzisz ty te góry tam nade dworem? Z nich przecie ciągle stacza się ziemia na dół. Może nieprawda?

– Jużci prawda.

– A prawda. Ale ta ziemia, co się stoczy, na czyje grunta spadnie najpierwej, hę?...

– Jużci na dworskie.

– A na dworskie. Zaś ta ziemia, co stoczy się z dworskiego łanu, to na czyj grunt najpierw spadnie: na mój czy na Grzyba?

– Jużci na Grzyba, bo Grzyb siedzi na skłonie pode dworem, a wy z drugiej strony doliny.

– Oto widzisz – ciągnął Ślimak. – Żeby tam siedział, gdzie Grzyb, to bym więcej z dworskich gruntów korzystał, a że mi wypadło siedzieć za wodą, mniej korzystam.

– I jeszcze z waszych gór spada ziemia na dworskie łąki – odpowiedział Jędrak.

– Wola boska! – rzekł chłop, uchylając czapki. – W tym ja najgorszy jestem między naszymi chłopami, że mam gruntu niedużo; ale w tym lepszy od samego pana, że z mojej chudoby ziemia zlatuje na jego łąki i majątku mu przysparza.

Chłopak, słysząc takie rozumowanie, kręcił głową.

– Co kręcisz łbem? – zapytał go ojciec.

– Bo mi się nie widzi to wszystko, co gadacie.

– Nie widzi ci się, boś młodszy ode mnie i głupszy.

– To i wy, tatulu, głupszy jesteście od Grzyba, boście młodszy, a on przecie gada wcale inaczej.

Chłopa aż kolnęło w serce.

– Jak ja ci dam w mordę – wykrzyknął – to zaraz pomiarkujesz se, ty kondlu, kto mądrzejszy!...

Wobec tak silnego argumentu Jędrak zamilkł i odtąd szli, nie

rozmawiając ze sobą. Stasiak marzył nie wiadomo o czym, a Ślimak na przemian albo frasował się: czy mu wypuszczą łąkę? albo dziwił, że jego starszy syn wygłasza tak przewrotne teorie.

– Ha! – mruknął – zapatruje się hołociuch na innych. Hardy, para, nikomu nie ustąpi, i łaska boża, że jeszcze nie kradnie. Ho! ho!... on już nie będzie chłopem.

W tym miejscu gościniec łączył się z drogą dworską, która łagodnie wznosiła się pod górę. Ślimak szedł coraz wolniej, Stasiak patrzył przed siebie coraz lękliej i tylko Jędrak robił się śmielszy. Stopniowo spoza wzgórza ukazywały się im czarne gałęzie lip przydrożnych zasypane pączkami, dworskie kominy i dachy budynków.

Nagle rozległy się dwa strzały.

– Strzelają! – krzyknął Jędrak i pobiegł naprzód, podczas gdy Stasiak schwycił ojca za kieszeń sukmany.

– Gdzie lecisz? Wróć się! – zawołał Ślimak.

Jędrak zachmurzył się, ale zwolnił kroku.

Weszli na taras, gdzie już rozciągały się tylko pola dworskie. Za nimi, niżej, leżała wieś, jeszcze niżej łąka i rzeka; przed nimi – stał dwór otoczony sztachetami, budynki, a dalej ogród.

– O, widzisz dwór? – rzekł Ślimak do Staśka.

– Który to?

– Ten z gankiem, na słupach.

– A to co za chałupa?

– Na lewo? To przecie nie chałupa, ino oficyna, a to niskie – kuchnia. A przypatrz się, że w oficynie jedne izby są na dole,

drugie na górze...

– Jakby na strychu?

– To nie strych, ino piętro. Strych jest jeszcze wyżej, pod dachem, jak u nas.

– Ale zawsze oni tam włożą po drabinie – wtrącił Jędrek.

– Nie po drabinie, ino po schodach – odparł surowo ojciec.

– Pan akurat poniewierałby się po szczeblach, kiedy on lubi wygodę. Toteż mu kradną siano znad stajni!

– A ono na prawo, tatulu, co takie szybiaste? – spytał Stasiek.

– Tam pewnie samo państwo wysiaduje i grzeje się na słońcu – odparł Jędrek.

– Nie gadaj, kiedy dobrze nie wiesz – zgromił go Ślimak. – Tam jest cała ściana ze szkła, bo to oranżeria. Tam są wszystkie kwiaty, jakie ino świat widział, i kwitną se nawet w zimie, kiedy na polu śnieg leży po kolana.

– Musi z papieru kwiaty, jak w kościele – wtrącił Jędrek.

– Właśnie że prawdziwe. Kwitną zaś, bo im przez zimę ogrodnik pali w piecu.

– A jabłka tu są w zimie? – spytał Jędrek.

– Jabłek nie ma, ino pomarańcze.

– Pewnie ze sto razy lepsze od jabłek?... – spytał Jędrek, a oczy mu się zaiskrzyły.

Chłop pogardliwie machnął ręką.

– Iii... Skosztowałem ci ja jedno takie. Małe jak kartofel, zielone, a paskudne – że by pies wypluł...

– I oni takie jedzą?

– Co nie mają jeść.

– A to oni są głupie – rzekł Jędrek.

– Tyś to głupi, bo się nie znasz – odparł chłop. – Tobie dobrze, kiedy ci przy krupniku jest słono? a panu dobrze, jak przy innym jedzeniu jest mu w gębie paskudnie. Kuźdy na tym świecie ma swój smak: wół lubi trawę, a świnia pokrzywy.

– Patrzcie ino, tatulu!... – wrzasnął Jędrek wskazując ku dworowi; lecz nim skończył, rozległy się znowu dwa strzały. Gdy zaś dym opadł, ujrzeli przy bramie młodego człowieka w żółtych kamaszach po kolana, w siwej kurtce z zielonymi wyłogami, z ładownicą na brzuchu, torbą na boku i z dubeltówką w rękach.

– To ten sam, co jechał na koniu i czapka mu ze łba zleciała – dodał Jędrek.

Chłop pochylił głowę w jedną stronę, potem w drugą, przypatrzył się.

– Juźci że on, pokraka!... – rzekł z niechęcią.

I dodał szeptem:

– Zły znak!... Pewnie mi łąki nie wypuszczą, kiedy nam drogę zastąpił ten farmazon.

– Ale fuzję ma porządną! – mówił Jędrek. – Do czego on tu strzyło⁴⁰, bo ino wróble latają?... Iii... może do niczego?... Ja, żebym miał fuzję, to bym se strzelał cały dzień, choćby w górę, a prochu, psiakość, tyle bym sypał, że by na samej plebanii huczało.

– Do nas on nie strzeli? – cicho zapytał Stasiek, wahając się,

⁴⁰ strzyło (gw.) – strzela. [przypis edytorski]

czy iść dalej.

– Co ma do nas strzelać? – odparł ojciec. – Przecież do ludzi strzelać nie wolno, za to jest kryminał. Chociaż... kto go wie, na co by się nie porwał taki zaprzaniec⁴¹!...

– Oj! oj! – pochwycił Jędrek – niech no by spróbował...

– A cóże byś mu ty zrobił?

– Złapałbym mu fuzję i odniósł do wójta. Jeszcze bym se parę razy strzelił po drodze.

Tymczasem myśliwy, nabijając swoją lankastrówkę, zbliżył się do chłopów. Na troku u jego torby wisiały zakrwawione szczątki wróbla.

– Niech będzie pochwalony – rzekł Ślimak, zdejmując czapkę.

– Dzień dobry, obywatelu! – odparł strzelec, uchylając aksamitnej dżokejki.

– Śliczności fuzja – westchnął Jędrek.

Panicz poprawił binokle i z uwagą spojrział na chłopca.

– Podobają ci się? – spytał. – He?... Czy to nie ty podałeś mi wtedy czapkę?...

– Juźci ja, ino pan jechał na koniu i bez fuzji.

– Więc ja jestem twoim dłużnikiem? – zawołał panicz wydobywając z kieszeni portmonetkę. – Masz tu – rzekł i dał mu srebrną czterdziestówkę. – A to twój ojciec?... ten, co cię wczoraj chciał batem obić?...

Chłop ukłonił się do ziemi.

– Obywatelu! – rzekł panicz tonem obrażonego. – Jeśli chcesz,

⁴¹ *zaprzaniec* – odstępcza (od wiary), heretyk, zdrajca. [przypis edytorski]

ażebyśmy byli ze sobą w przyjaźni, nie kłaniaj mi się tak nisko i nakryj głowę. Czas zapomnieć o resztkach niewoli, które nam i wam ujmę przynoszą. Nakryj głowę, obywatelu, proszę cię...

Zdumiony i zakłopotany Ślimak chciał spełnić rozkaz, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa.

– Przecie to wstyd stać przy panu w czapce – szepnął.

– Dajże spokój dzieciństwowi! – ofuknął panicz. Wyrwał mu czapkę z ręki i gwałtem wsadził na głowę, a następnie to samo zrobił wylęknionemu Staškowi.

„Choroba!...” – pomyślał chłop, nie mogąc zdać sobie sprawy z demokratycznych intencji panicza.

– Cóż to, idziecie do dworu? – spytał go myśliwiec, zawieszając fuzję na ramieniu.

– Jużci, jaśnie paniczu.

– Macie interes do mego szwagra?

Chłop znowu chciał ukłonić się do nóg, ale został powstrzymany.

– Cóż to za interes?

– Chcieliśmy prosić łaski jaśnie pana, żeby nam wypuścić w arendę ten kawałek łąki, co jest między rzeką i moją chudobą.

– Na cóż to wam?

– Stargowaliśmy wczoraj z moją kobietą krowinę i boimy się, że paszy będzie za mało, więc dopraszamy się łaski...

– A dużo macie bydła?

– Ma tam Pan Jezus pięć ogonów: niby dwa konie i trzy krowy, i jeszcze parę świń.

– Ziemi macie dużo?

– Bogać tam dużo, jaśnie panie, ledwo dziesięć morgów, i to z roku na rok jałowije – westchnął chłop.

– Bo nie umiecie gospodarować – rzekł panicz. – Dziesięć morgów ziemi, mój człowieku, to kolosalny majątek! Za granicą na takim kawałku żyje wygodnie kilka rodzin, a u nas jednej nie wystarcza. Ale cóż, kiedy siejecie tylko żyto...

– Cóż siać, jaśnie panie, jeżeli pszenica nie plonuje?

– Ogrodowizny, mój przyjacielu, to jest interes! Ogrodnicy pod Warszawą płacą po kilkadziesiąt rubli dzierżawy z morgi i mimo to mają się doskonale...

Ślimak smutnie zwiesił głowę, lecz serce burzyło mu się; słuchając bowiem wywodów panicza doszedł do wniosku, że dwór albo mu nie wypuści łąki w dzierżawę, jako już posiadającemu dziesięć morgów, albo – każe zapłacić kilkadziesiąt rubli czynszu. Bo i po co by panicz opowiadał takie dziwne rzeczy, jeżeli nie w celu wmówienia w niego, że za dużo ma gruntu i że powinien drogo płacić arendę?

Zbliżyli się do bramy.

– Widzę w ogrodzie siostrę – rzekł panicz – pewno tam będzie i szwagier. Pójdę do niego i poproszę, żeby załatwił wasz interes. Do widzenia.

Chłop ukłonił się do ziemi, ale jednocześnie pomyślał:

„Żeby cię choroba zatłukła, kiedyś się tak zawzięł na mnie! Babę mi zaczepiał, chłopca zbuntował, a dziś niby to kłaniać się nie każe, ale gada, żeby płacić takie straszne pieniądze z morgi!

Wiedziałem, że mi sprowadzi nieszczęście”.

Ode dworu doleciały ich dźwięki organów.

– Tatulu, grają!... Gdzie to grają?... – zawołał Stasiek.

– Pewnie dziedzic gra.

Istotnie, dziedzic grał na amerykańskim organie. Chłopi z uwagą przysłuchiwali się niezrozumiałej dla nich, ale pięknej melodii. Staškowi poczerwieniała twarz i drżał ze wzruszenia, Jędrrek spoważniał, a Ślimak zdjął czapkę i począł mówić pacierz, ażeby Bóg miłosierny zasłonił go od nienawiści panicza, któremu przecież on – nic złego nie zrobił.

Organy umilkły, a jednocześnie panicz spotkał się w ogrodzie z siostrą i z ozywieniem począł jej coś przedstawiać.

– To ci instyguje⁴² na mnie! – mruknął chłop.

– Widzicie, tatulu – zaczął Jędrrek – że pani to podobna do bąka. Żółta w czarne cętki, cienka w pasie, a gruba na końcu. Ale piękna pani!

– Gorszy od bąka ten podlec na żółtych nogach, chociaż cienki jak patyk! – odparł chłop.

– Co on ma być gorszy, kiedy mi dał czterdziestkę? Głupi to on musi że jest, ale dobry pan.

– Odbiorą oni sobie tę czterdziestkę, nie bój się.

Tymczasem panicz opowiedziawszy siostrze interes Ślimaka począł robić jej wymówki.

– Zdumiony jestem – prawil – cechami niewolnictwa, jakie spotygam wśród ludu. Ten biedak nie jest w stanie rozmawiać w

⁴² *instygować* – podjudzać; oskarżać przed sądem. [przypis edytorski]

czapce na głowie, a przy tym tak był zmieszany, tak zalekniony, że mnie litość brała, patrząc na niego. Na cały dzień zepsuł mi humor.

– Ale cóżem ja temu winna i co mam robić? – pytała pani.

– Zbliżyć się do nich, ośmielać...

– Wyborny jesteś! – odparła, wzruszając ramionami. – Kiedym zeszłej jesieni urządziła zabawę dzieciom naszych parobków, właśnie ażeby je ośmielić do siebie, to zaraz na drugi dzień połamały mi brzaskwinie. A zbliżać się do nich? ... I to robiłam. Weszłam raz do chaty, gdzie leżało chore dziecko, i w ciągu godziny nasiąkałam takimi zapachami, że musiałam nową suknię oddać pannie służącej. Dziękuję za podobne apostołstwo...

Tak rozmawiając po francusku, zbliżyli się do sztachet, za którymi stali chłopci.

– Przynajmniej dla tego musisz co zrobić – rzekł panicz – bo dziwnie mi się podobał.

Pani przyłożyła szkła do oczu.

– Ach, to jest Ślimak! – zawołała. – *Limaçon*⁴³... wyobraź sobie, co za komiczne nazwisko!

– Pocziwy człowieku – zwróciła się do chłopca – brat mój chce, żebym co dla ciebie zrobiła, no i ja sama rada bym. Czy masz córkę?

– Nie mam, jaśnie pani – odpowiedział chłop, całując przez kratę kraj jej sukni.

⁴³ *limaçon* (fr.) – ślimak. [przypis edytorski]

– Szkoda. Mogłabym dziewczynę nauczyć roboty koronek.

– Poprzednio umywszy ją – dodała po francusku.

„A o łące ani wspomni!” – pomyślał chłop.

– To są twoi chłopcy? – pytała dalej Ślimaka.

– Nasi, jaśnie pani.

– Więc przysyłaj mi ich, to będą uczyli się czytać.

– Albo oni mają czas, jaśnie pani? Starszy ciągle w domu

potrzebny...

– Więc przysyłaj młodszego.

– I ten już chodzi za świńmi⁴⁴...

Pani wzniosła oczy do nieba.

– No, i zróbże co dla nich! – rzekła po francusku do brata.

„Coś oni okrutnie zmagają się na naszą krzywdę!” –

pomyślał chłop, mocno zaniepokojony francuską konwersacją państwa.

Ode dworu ukazał się dziedzic, a spostrzegłszy żonę i szwagra, przyśpieszył kroku i za chwilę znalazł się obok nich. Ślimak znowu zaczął się kłaniać, Staškowi ze wzruszenia łzy nabiegły do oczu, a nawet Jędrak stracił zwykłą śmiałość wobec pana. Tymczasem uzbrojony w fuzję demokrata opowiedział szwagrowi interes chłopca i poparł go bardzo gorąco.

– Ależ niech bierze w dzierzawę ten kawałek łąki! – zawołał dziedzic. – Przynajmniej nie będę miał z nim awantur o szkody w sianie, a zresztą jest to najuczciwszy chłop we wsi.

Panowie wciąż rozmawiali po francusku, więc Ślimaka aż

⁴⁴ *świńmi* – dziś popr. forma N.lm: świniami. [przypis edytorski]

mrowie przechodziło na myśl: co oni układają przeciw niemu? ... Już gotów był wracać do domu z niczym, byle prędzej zejść im z oczu.

Dziedzic, wysłuchawszy relacji szwagra, zwrócił się do chłopca.

– Więc chcesz – spytał go – ażebym te dwa morgi łąk nad rzeką wypuścił ci w dzierżawę?

– Jeżeli łaska jaśnie pana – odparł chłop.

– I żeby nam jaśnie pan choć ze trzy ruble opuścił – dodał szybko Jędrak.

Ślimakowi krew uciekła do serca, a państwo spojrzeli po sobie.

– Cóż to znaczy? – spytał pan. – Z czego ja mam opuścić trzy ruble?

Chłop machinalnie sięgnął ręką do rzemienia, ale opamiętawszy się, że w takiej chwili nie może zbić Jędrka, wpadł w desperację, i postanowił od razu powiedzieć całą prawdę.

– A, jaśnie panie! – zawołał – niech jaśnie pan tego hycła nie słucha! Było, panie, tak, że mi baba okrutnie głowę suszyła, jako ie umiem się targować, i nakazywała mi, żebym choć ze trzy ruble wytargował na łące. No, a teraz ten kundel taką mi rzecz zrobił, że aż wstyd!...

– Przecie matula powiedzieli, żebym was pilnował i żebyśmy oboje jaśnie państwa w nogi całowali, to coś opuszczą – tłumaczył się Jędrak.

Wobec tego Ślimak całkiem zapomniał języka, ale państwo

zanosili się ze śmiechu.

– Oto masz – mówił znowu po francusku dziedzic do swego szwagra – oto masz chłopca. Tobie ze swoją żoną rozmawiać nie pozwoli, bojąc się, żebyś jej nie zbałamucił, ale sam bez niej kroku zrobić nie może. Żebyś mu zaproponował najświetniejszy interes, nie wykona go bez sankcji żony czy też nie zrozumie bez jej wyjaśnień.

– Bardzo dobrze! Tak być powinno! – potakiwała pani, zasłaniając twarz batystową chusteczką. – Wyborni są ci chłopcy... Gdybyś ty mnie słuchał, dawno już sprzedalibyśmy tę nudną wieś i uciekli do Warszawy!

– Mój drogi, nie róbże chłopów idiotami – zaprotestował szwagier.

– Nie potrzebuję robić, oni już są idiotami. Nasz chłop składa się z żołądka i mięśni, bo rozumu i woli zrzekł się na *benefis*⁴⁵ swej żony. Ślimak należy do najsprytniejszych chłopów we wsi, a przecież w tej chwili słyszałeś dowód jego głupoty.

– Ależ...

– Żadnego ale, mój chłopomaniu. Jeżeli chcesz, mogę cię jeszcze raz przekonać, że to są osły.

– Ależ, mój drogi...

– Przepraszam cię – przerwał dziedzic – za chwilę sam zobaczysz, gdzie chłop ma rozum.

I zwrócił się do Ślimaka, który z najwyższym niepokojem oczekiwał skutków wesolej, a tak niepojętej dla niego sprzeczki.

⁴⁵ *benefis* – tu: korzyść. [przypis edytorski]

– Więc, mój Józefie, to żona kazała ci, ażebyś wziął ode mnie łąkę w dzierzawę?

– Jużci tak, jaśnie panie.

– I żebyś się dobrze targował?

– Jużci tak. Co prawda, to prawda.

– Wiesz, ile Łukasiak płaci mi rocznie za morgę łąki?

– Gadał, że dziesięć rubli.

– Więc ty powinienes płacić dwadzieścia rubli za dwie morgi.

Chłop zamyślił się i rzekł po chwili:

– Zawsze się ta jaśnie pan zmiłuje...

– I choć ze trzy ruble opuści?... – pochwycił dziedzic.

Ślimak umilkł zawstydzony.

– Dobrze – rzekł dziedzic – opuszczę ci trzy ruble i będziesz płacił tylko siedemnaście rubli rocznie. Czy jesteś kontent?

Chłop schylił się do ziemi, a nie mogąc dosięgnąć nóg dziedzica uścisnął sztachety; lecz na jego twarzy zamiast zadowolenia malowała się niepewność.

„Coś jest – myślał Ślimak – że on się nie targuje! Już ja widzę, że ten szwagierek cosik zmajstrował!...”

Głośno zaś dodał:

– To niech jaśnie pan jeszcze uczyni łaskę i weźmie ode mnie zadatek. Właśnie dała mi moja dziesięć rubli, a resztę powiedziała, żebym odniósł jutro.

Wydobył zza sukmany węzełek, z niego dziesięć rubli – i wręczył dziedzicowi.

– Za pozwoleniem – przerwał dziedzic – pieniądze wezmę

później, a teraz zrobię ci propozycję. Czy pamiętasz, ile mi za morgę łąki zapłacił w zeszłym roku Grzyb?

– Osiemdziesiąt rubli.

– I oprócz tego zapłacił rejenta i jeometrę⁴⁶, czy tak?

– Święta prawda.

– Otóż słuchaj. Ja te dwie morgi łąki, które chcesz dzierżawić, sprzedam ci po sześćdziesiąt rubli, więc o dwadzieścia rubli taniej aniżeli Grzybowi. Jeszcze zrobię lepiej, bo – nic nie wydasz ani na jeometrę, ani na rejenta. Ale wiesz pod jakim warunkiem?

Chłop pokornie wzruszył ramionami.

– Pod tym warunkiem, żebyś zdecydował się sam, zaraz, nie pytając żony. Uważaj więc: zapłacisz sto dwadzieścia rubli za łąkę, która jest warta więcej niż sto sześćdziesiąt, zyskasz na czysto czterdzieści rubli, ale... decyduj się natychmiast. Jutro, a nawet dziś wieczorem, kiedy naradzisz się z żoną, już na tych warunkach nie sprzedam.

Ślimakowi błysnęły oczy. Zdawało mu się, że teraz dopiero odkrył naturę zmywy wymierzonej przeciwko niemu.

– Dziwny kaprys tracić czterdzieści rubli za nic! – odezwała się pani po francusku.

– Bądź spokojna – odparł mąż. – Znam ja ich...

– No i cóż – zwrócił się do Ślimaka – kupujesz łąkę bez poradzenia się żony?

– Kiej to nieładnie – odpowiedział chłop z obłudnym

⁴⁶ *jeometra* (daw.) – geometra. [przypis edytorski]

uśmiechem. – Przecie jaśnie pan, a i to naradza się z jaśnie panią i jaśnie paniczem, nie dopiero ja.

– A widzisz?... – rzekł dziedzic do szwagra. – Czy on nie jest skończonym idiotą?...

Panicz przez sztachety poklepał po ramieniu Ślimaka.

– No, mój przyjacielu, zgódźże się natychmiast, a zrobisz panu grubego figla.

– On już kupił – rzekł do szwagra.

– Kupujesz, Józefie? Dajesz rękę na zgodę? – spytał dziedzic.

„Albo ja głupi!” – pomyślał chłop, głośno zaś dodał: – Kiej kupować przez żony, jaśnie panie, to nieładnie...

– I nie namyślisz się?

– Kiej bardzo nieładnie – powtarzał chłop, kontent, że pan nastreczył mu tak doskonałą wymówkę.

Chłop udawał zasmuconego, ale uparł się i ani myślał kupować łąki.

– No, więc w takim razie wypuszczam ci łąkę w dzierżawę. Daj mi swój zadatek, a jutro przyjdź po kwit.

– Masz chłopca, panie demokrato! – rzekł do szwagra, który tymczasem gryzł paznokcie.

Ślimak zapłacił dziesięć rubli, państwo pożegnali się z nim i odeszli. Widząc, że już nie patrzą, chłop obrzucił ich ognistym spojrzeniem i wzburzony począł szeptać do siebie:

– Ehej! chcieliśta⁴⁷ chłopca oszwabić, ale ma on swój rozum, ma!... Pewniakiem już w tym roku, jak mówił Grochowski,

⁴⁷ *chcieliśta* (gw.) – chcieliście. [przypis edytorski]

będą nam dodawali gruntów i dlatego pilno im sprzedać!... Sto dwadzieścia rubli za taką łąkę, co warta ze dwieście... Głupiemu gadać, nie mnie... Ale dobre i sto dwadzieścia, kiedy przyjdzie oddać darmo.

– Cosik szlachta tego kręciła, niech ich tam!... – zauważył Jędrak.

– Cicho bądź – zgromił go ojciec, a w duchu dodał: „Nawet hołociuch, a i to poznał się, że kręcą...”

Nagle nasunęła mu się inna uwaga:

„A może teraz nie będą rozdawali gruntów, tylko państwu taka fantazja strzeliła, żeby mi tanio sprzedać?...”

Zrobiło mu się gorąco. W tej chwili chciał wołać za państwem, rzucić się im do nóg i błagać, ażeby mu choć za sto trzydzieści rubli oddali łąkę. Ale państwo byli już w połowie ogrodu. Wtem odłączył się od nich panicz i znów przybiegł do chłopca.

– Kupujże tę łąkę! – mówił zadyszany. – Szwagier jeszcze się zgodzi, tylko go proś.

Na widok niemilego panicza w Ślimaku zbudziła się poprzednia nieufność.

– Kiej bez żony kupować nieładnie – odparł, uśmiechając się.

– Bydlę! – mruknął panicz i zawrócił się do dworu.

Łąka przepadła.

– Czego jeszcze stoicie, tatulu? – nagle zapytał Jędrak, widząc, że Ślimak oparł się o sztachety i duma.

– Bo nie wiem, czy dobrze zrobiłem, żem nie kupił za sto dwadzieścia rubli onej łąki? – mruknął chłop.

– Coście mieli źle zrobić, kiedy za siedemnaście rubli macie to samo?

– Ale zawdy łąka nie moja.

– Jak rozdadzą grunta, to będzie wasza.

Ślimaka ucieszyły te wyrazy. „Juźci – myślał – musi być prawda z tym rozdawaniem, kiedy nawet hołota o nim gada”.

– Chodźta⁴⁸, chłopcy, do dom! – rzekł głośno.

Wracali w milczeniu. Jędrak, spoglądając ukosem na ojca, żywił w sercu jakieś złe przeczucia, a Ślimaka trapił niepokój.

– Psiewiary szlachta! – szeptał chłop, zaciskając pięści – człek nigdy nie zmiarkuje, kiedy oni łągą⁴⁹, a kiedy mówią prawdę... Rychtyk⁵⁰ jak z Żydami.

W połowie drogi chłopcy wyrwali się naprzód, bo byli głodni. Gdy zaś Ślimak wszedł do chaty, zapytała go żona:

– Co tu gada Jędrak, że chcieli sprzedać ci łąkę za sto dwadzieścia rubli?

– Juźci chcieli, ale przez to, że boją się nowego rozdawania gruntów – odpowiedział nieco stropiony.

– Ja też zaraz powiedziałam Jędrkowi, że albo szczeka, albo jest w tym jakieś szachrajstwo. Kto by zaś oddawał za sto dwadzieścia rubli taką rzecz, co warta ze dwieście?

Chłop, rozebrawszy się, zasiadł do obiadu i jedząc, opowiadał żonie, co go spotkało.

⁴⁸ *chodźta* (gw.) – chodźcie. [przypis edytorski]

⁴⁹ *łąg* – dziś popr. forma: łąka; *łżeć*: kłamać. [przypis edytorski]

⁵⁰ *rychtyk* (z niem.) – dokładnie, akurat. [przypis edytorski]

– Ho! ho!... mądrzy oni we dworze. Nie wiem nawet, skąd dowiedzieli się, że idziemy za łąką i nasamprzód zasadzili na mnie swego szwagierka.

– Tego ślepaka? co mnie zaczepiał u wody?... – wtrąciła Ślimakowa.

– Jużci jego. Ten ci choroba zabiegł nam drogę. Jędrkowi dał czterdziestkę, mnie czapkę wbił na łeb, żeby mi lepiej oczy zamydlić, i zara począł z góry:

„Na co ci łąka? Albo już i tak nie masz okrutnego majątku? Wiesz ty, że dziesięć morgów to niezmierna fortuna?...”

– Ale, fortuna!... – przerwała Ślimakowa – jego szwagier ma przecie z tysiąc morgów i jeszcze narzeka!

– Tak ci mnie, para, tumanił. A kiedy zobaczył, że ja – nic, doprowadził mnie do samej pani. Ona znowu wzięła mnie zagadywać, żebym jej chłopaków posyłał do uczenia, a pan przez ten czas wygrywał se na organach...

– Cóż on chce zostać organistą, jak mu ziemię zabiorą? – spytała gospodyni.

– On se tak wciąż przygrywa; nic nie robi, ino przygrywa. Więc potem – prawil chłop – wyszedł i pan, a oni zaraz zaczęli mu śwargotać⁵¹ po frajcusku, że chłop (niby ja) jest strasznie twardy, że podejść go (niby mnie) nie można, zatem – żeby mi co prędzej sprzedał łąkę, nim się opamiętam.

– Toś ty zmiarkował, co oni gadają?

– Com nie miał zmiarkować! Przecie ja i po żydowsku jestem

⁵¹ *śwargotać* – szwargotać; szybko i niezrozumiale mówić. [przypis edytorski]

wyrozumiały.

– I nie kupiłeś łąki? Dobrześ zrobił, bo w tym jest nieczysty interes – zakończyła kobieta.

Ale chłop nie ucieszył się z żoninej pochwały, znowu bowiem opanowała go wątpliwość co do zamiarów państwa.

„A może oni szczerze chcieli sprzedać łąkę tak tanio?” – myślał.

Przestał jeść i wałęsał się z kąta w kąt po chacie. Ogarniał go coraz większy niepokój, że może źle zrobił, opuściwszy taką okazję, ale – dodawał sobie otuchy, mrużąc:

– Nie mnie okpić! Znam ja się na rzeczy!...

Nareszcie wzburzenie Ślimaka dosięgło zenitu. Siadł na ławie, potem zerwał się z niej, pochwyił się za głowę i przez chwilę już nie wiedział, co ma robić z ciężkiej niepewności. Nagle spojrzał na Jędrka i – błysnęła mu myśl szczęśliwa.

– Chodź ino tu, Jędrak – rzekł do chłopca zdejmując rzemyk z bioder.

– Oj, tatulu, nie bijcie mnie! – wrzasnął chłopak, któremu zresztą już od paru godzin zdawało się, że bicie go nie minie.

– Nic nie pomoże! – mówił Ślimak. – Hardy jesteś, naśmiewałeś się z panicza, pyskowałeś przed samym jaśnie panem... Ligaj⁵² na ławie!

– Oj, tatulu, niechajcie mnie⁵³! – prosił Jędrak. Stasiek objął ojca za nogi i z płaczem całował mu kolana, a Magda wybiegła

⁵² *ligaj* (gw.) – kładź się. [przypis edytorski]

⁵³ *niechajcie mnie* – zostawcie mnie; por. *poniechać czego*. [przypis edytorski]

do gospodyni na dziedziniec.

– Mówię ci: ligaj na ławie! pókim dobry... – wołał Ślimak. – Jak ty dziś dostaniesz swoje, to nie będziesz się, kondlu, wdawał z tym hyclem Jaśkiem... Ligaj mi zaraz!...

Wtem Ślimakowa gwałtownie zapukała do okna.

– A chodź prędko, Józek – mówiła – bo cosik się stało nowej krowie. Tak się tarza...

Chłop puścił Jędrka i pędem pobiegł do obory. Tu jednak zobaczył, że wszystkie krowy stoją przy żłobach i spokojnie jedzą.

– Widać już ją odeszło – mówiła kobieta – ale tak się tarzała, powiadam ci, jak ty wczoraj.

Ślimak obejrzał krowę uważnie, dotknął jej grzbietu i pokręcił głową. Domyślił się, że żona chciała go tym figlem odciągnąć od Jędrka. Ponieważ jednak chłopiec wymknął się już z chaty, a i ojca złość odeszła, więc skończyło się na niczym, jak zwykle w podobnych wypadkach.

V

Był lipiec. Dziedzic z dziedziczką od dawna wyjechali za granicę; we wsi o nich zapomniano i nawet nowa wełna zaczęła porastać na ostrzyżonych owcach.

Słońce tak grzało, że chmury uciekły z nieba gdzieś do lasów, a ziemia zasłaniała się od gorąca, czym mogła: na gościńcach kurzem, na łąkach potrawem, na polach gęstym urodzajem.

Dla ludzi był to początek największej pracy. We dworze już skosili koniczynę i rzepik, przy chatach gospodynie i dziewczuchy obsypywały buraki i kartofle, a stare kobiety zbierały ślaz na poty, kwiat lipowy na gorączkę i włosy Panny Marii na boleści. Proboszcz z wikarym całymi dniami śledzili i chwyтали pszczelne roje, a Josel karczmarz fabrykował ocet. W lesie rozlegały się nawoływania dzieci zbierających jagody.

Tymczasem dochodziły⁵⁴ zboża i Ślimak nazajutrz po Matce Boskiej Szkaplerznej⁵⁵ wziął się do zżęcia żyta. Krótka była to robota, na trzy dni albo i na dwa dni; lecz chłop śpieszył się, raz dlatego, aby nie wykruszyło się zbyt suche ziarno, a po drugie, aby mógł wyjść na żniwo do dworu.

Zwykle pracowali we trzech: Ślimak, Owczarz i Jędrak, na przemian żnąc i wiążąc snopki; gospodyni zaś i Magda pomagały

⁵⁴ *dochodzić* – tu: dojrzewać. [przypis edytorski]

⁵⁵ *Matki Boskiej Szkaplerznej* – święto w kościele katolickim obchodzone 16 lipca. [przypis edytorski]

im z rana i po obiedzie.

Pierwszego dnia, w czasie południowej roboty, kiedy w pięcioro (bo tym razem były i kobiety) żnąc, dosięgli szczytu wzgórza, Magda spostrzegła pod lasem kilka ludzkich sylwetek i powiedziała o tym gospodyni. Wszyscy obejrzeni się w tamtą stronę i poczęli robić uwagi.

– To jakieś chłopy – rzekł Owczarz – bo białe.

– Jest tam jeden między nimi słomiany – dodała Ślimakowa – a chłopy tak nie chodzą.

– I musi, że do kolan mają buty – wtrącił Ślimak.

– Przypatrzcie się – zawołał Jędrak – a dyć⁵⁶ oni noszą tyki w garści i ciągną jakby sznur za sobą!

– To chyba omentry⁵⁷?... Cóż by to było?... – zastanowił się Ślimak.

– Pewnie nowe pomiary!... – odpowiedziała Ślimakowa. – Widzisz, jak dobrze, żeś wtedy nie kupił łąki od pana?

Wzięli się znowu do roboty, ale szła im niesporo, każde bowiem spoglądało ukradkiem na owych ludzi spod lasu, którzy stawali się coraz wyraźniejsi. Nie byli to chłopi, bo zamiast przepasanych koszul mieli białe albo żółtawe kurtki, a na kapeluszach czarne wstążki. Szli od zachodu na wschód i widocznie mierzyli pole.

Zjawienie się ich tak zaciekało Ślimaka, że zamiast przodować w robocie, włókł się na końcu obok Magdy. Wreszcie

⁵⁶ dyć (gw.) – przecież. [przypis edytorski]

⁵⁷ omentry – geometrzy. [przypis edytorski]

zawołał:

– Jędrak! ciśnij sierp i skocz do onych, co tam na polu bonują⁵⁸. Spenetruj, co za jedni, i wymiarkuj: czy mierzą na rozdanie gruntów, czy na co innego?

Chłopak pobiegł cwałem.

– A obchodź ich ostrożnie! – wołała matka – żeby cię który nie przetrącił...

Jędrak w kilka pacierzy dognał mierników, wszedł między nich i chwilę porozmawiał, ale – ani myślał o powrocie. Owszem, wziął się nawet do tyki i łańcucha.

– Słyszeliście! – dziwiła się Ślimakowa – a dyć on już do nich całkiem przystał. Patrzaj ino, Józek, jak wrywa z tym sznurzykiem?... Tamci przecie musieli się uczyć nie bez jedną zimę i żaden go nie wyścignie. A on, para, co ino za szybą u Żyda widział lamentarz⁵⁹, tak se śkika⁶⁰ między nimi jak zając... To ci chłopak!... Szkoda, żem mu nie kazała wzuć butów, bo jeszcze pomyślą, że on jaki sierota, nie gospodarski syn.

Ujęła się pod boki i zadowolona patrzyła na Jędrka, który z wielką śmiałością przenosił tyki i ciągnął łańcuch od punktu do punktu.

Wkrótce oddział inżynierski zeszedł w nizinę i ukrył się przed oczyma chłopów.

⁵⁸ *bonować* – tu: węszyć, kręcić się; używać, dobrze żyć (od łac. *bonus*: dobry). [przypis edytorski]

⁵⁹ *lamentarz* (gw.) – elementarz. [przypis edytorski]

⁶⁰ *śkikać* (gw.) – skakać. [przypis edytorski]

– Cosik z tego będzie – rzekł zadumany Ślimak – albo dobre, albo złe.

– Co ma być źle, jak dodadzą gruntów! – wtrąciła Ślimakowa.
– A ty co myślisz, Maćku?

Parobek, zakłopotany pytaniem, otarł pot z czoła i odparł po namyśle:

– Co ta być może dobrego? Pamiętam, kiedym służył u pana w Krzeszowie (będzie temu sześć roków), a rychtyk tacy sami przeszli przez pola z tykami, to zara na jesień wójt zrobił w kasie deces⁶¹ i cała gmina musiała się za niego składać. Każda nowa rzecz jest niepewna – zakonkludował.

Słońce schylało się ku zachodowi, kiedy nadbiegł zadyszany Jędrek, wołając na matkę, ażeby wyniosła mleka z lochu, bo idzie tu dwóch panów, wielkich panów, którzy mu za noszenie łańcucha dali dwa złote.

– Oddaj to zaraz matce! – krzyknął Ślimak. – Oni ci zapłacili dwa złote nie za łańcuch, ale za mleko, co u nas zjedzą.

Jędrek o mało się nie rozplakał.

– Co mam oddawać moje pieniądze? – mówił. – Przecie oni za to, co zjedzą, osobliwie zapłacą i jeszcze za inne rzeczy, co wezmą!... Nawet pytali się, czy w chałupie są kurczęta i masło...

– To oni kupcy, że dowiadują się o masło i kurczęta? – spytał Ślimak.

– Nie kupcy, ino wielkie państwo, co jeżdżą z szałasem i z kucharzem, a on im w polu jeść gotuje.

⁶¹ *deces* – manko, niedobór pieniędzy; dosł.: zgon. [przypis edytorski]

– Cygany czy co? – mruknął Ślimak.

Nie czekając na zakończenie rozmowy, gospodyni zbiegła do chaty, a niebawem ukazali się i dwaj panowie. Byli spoceni, opaleni i kurzem okryci, ale mieli takie wspaniałe miny, że na ich widok Ślimak i Owczarz zdjęli kapelusze jak na komendę.

Powitawszy chłopów, starszy pan z długą czarną brodą zapytał:

– Który to gospodarz?

– Ja – rzekł Ślimak.

– Dawno tu mieszkasz?

– Od dziecka.

– I widziałeś, jak ta rzeka wylewa?

– Albo raz!...

– A nie pamiętasz, jak wysoko podnosi się woda?

– Czasami, jaśnie panie, wyleje nad łąkę tak, że chłop by się utopił.

– Wiesz to z pewnością?

– Wszyscy wiedzą, bo przecie i te wyrwy, co są z boku góry, to woda wyżarła.

– Trzeba będzie postawić most dziesięciosążniowy⁶² – odezwał się młodszy pan.

– Zapewne – odparł starszy. Rozejrzał się po łące i znowu zwrócił się do Ślimaka:

– A mleka u was dostaniemy?

⁶² *dziesięciosążniowy* – mierzący dziesięć sążni; *sążeń*: miara długości wynosząca ok. 1,7–2 m. [przypis edytorski]

– Już moja zeszła na dół, niech panowie pozwolą.

Panowie skierowali się do chaty, a za nimi Ślimak, Owczarz i nawet Magda. Jedzenie mleka przez podobnych gości było tak wielkim wypadkiem w gospodarstwie Ślimaka, że godziło się opuścić żniwo.

Nie mniejsza niespodzianka czekała ich na podwórzu. Ślimakowa z Jędrkiem wynieśli przed chatę stołki z poręczami i wiśniowy stół, nakryli go obrusem, położyli talerze, blaszane łyżki, osełkę masła, bułkę sitnego chleba⁶³ i cały ser z kminkiem. Na progu chaty stała w pogotowiu dzieża zsiadłego mleka, a o kilkanaście kroków z boku trzy kury z gromadą kurcząt dziobały kaszę, krzycząc i rozpychając się.

Panowie spojrzeli po sobie zdziwieni.

– No, no – szepnął młodszy – szlachcic lepiej by nas nie przyjął.

Siedli przy stole, zjedli pół dzieżki⁶⁴ mleka, pochwalili ser i masło, wreszcie starszy zapytał Ślimakowej, co się należy?

– Niech panom będzie na zdrowie – odpowiedziała kobieta.

Zdziwili się jeszcze więcej.

– Darmo przecie objadać was nie możemy – rzekł starszy pan.

– My nie weźmiemy pieniędzy za gościnność. Wreszcie mój

⁶³ *chleb sitny* a. *sitowy* – chleb z mąki razowej przesianej przez sito, delikatniejszy od razowego. [przypis edytorski]

⁶⁴ *dzieżka* – mała *dzieża*, tj. naczynie drewniane, wykonane z klepek, o kształcie ściętego stożka a. walca; wyrobem dzieży (jak również beczek) zajmował się *bednarz*; duże dzieże używano do wyrabiania ciasta chlebowego, mniejsze do przechowywania żywności. [przypis edytorski]

chłopiec tyle u państwa zarobił, jakby za cały dzień żniwa.

– A co?... – szepnął młodszy pan do starszego. – Tacy są polscy chłopci!...

Wydawali się obaj bardzo zadowolonymi, a starszy pan odezwał się do Ślimaka:

– Za takie przyjęcie wybudujemy wam tu niedaleko stację.

Ślimak ukłonił się.

– Kiej⁶⁵ nie wiem, jaśnie panie, na co to jest i co panowie chcą u nas zrobić?

– Przeprowadzimy wam tędy kolej żelazną.

– Drogę żelazną – powtórzył młodszy pan.

Ślimak pokręcił głową.

– Kto u nas będzie jeździł po takiej?... Najtwardszy koń zdarłby kopyta!

– Toteż wozów nie będą ciągnąć konie, tylko lokomotywa.

Chłop podrapał się w głowę.

– O czymże tak rozmyślasz? – zapytał go starszy pan.

– Musi, że nam na złe wyjdzie taka droga – rzekł chłop – bo furmanką już nic człowiek nie zarobi.

Obaj panowie roześmieli się, a starszy począł mówić:

– Nie bój się, mój kochany, taka droga to dla was szczęście, a szczególnie dla ciebie, który będziesz mieszkał najbliżej stacji. Będziesz woził towary, podróżnych, będziesz sprzedawał masło, jaja, kury, kapustę i wszystko, co ci się urodzi. A my dobrze płacimy... Na próbę może nam sprzedasz te kurczęta. Ile ich tu

⁶⁵ *kiej* (gw.) – kiedy. [przypis edytorski]

jest?

– Dwadzieścioro i dwoje – odezwała się Ślimakowa.

– Po czemu chcecie?

– Ile łaska panów.

– Oddacie po dwa złote?

Ślimakowa przelotnie spojrzała na męża. Dotychczas płacono im najwyżej po złotówce za kurczę.

– Niech panowie wezmą – odparła.

– Hultaj Żyd – mruknął młodszy – sprzedaje nam po pół rubla⁶⁶.

– A masła młodego dużo macie? – pytał starszy pan Ślimakowej.

– Znajdzie się ze dwa garnce⁶⁷.

– Po czemu⁶⁸?

– Ile łaska.

– Weźmiesz po pięć złotych kwartę⁶⁹?

Gospodyni tylko ukłoniła się. Żyd płacił jej po pół rubla⁷⁰.

W ten sposób panowie zamówili jeszcze kilka serów, dwie

⁶⁶ *dwa złote (...) pół rubla* – w zaborze rosyjskim 1 złoty dzielono na 30 groszy a. 15 kopiejek; 1 rubel dzielono na 100 kopiejek; tzn. 1 kopiejka liczyła 2 grosze, 50 kopiejek (pół rubla) 100 groszy, czyli 3 złote 10 groszy. [przypis edytorski]

⁶⁷ *garniec* – daw. jednostka objętości ciał płynnych i sypkich, w XIX w. wynosiła ok. 4 litry; 32 garnce składały się na *korzec*, 48 garnce składało się na *beczkę*; korzec dzielił się na 4 *kwarty* (ok. 1 litr) a. 16 *kwaterek* (ok. ćwierć litra). [przypis edytorski]

⁶⁸ *po czemu* (daw.) – po ile?; pytanie o cenę. [przypis edytorski]

⁶⁹ *kwarta* – daw. jednostka objętości ciał płynnych, ok. 1 litr. [przypis edytorski]

⁷⁰ *pół rubla* – ok. 3 złote 10 groszy. [przypis edytorski]

kopy⁷¹ raków, kopę ogórków, kilka bułek sitnego chleba i kazali to przywieźć pod las, gdzie stały dwa namioty. Młodszy wciąż dziwił się, że jest tanio, a starszy chwalił się, że on zawsze robi takie sprawunki. Przed odejściem zaś, wypłacając gospodyni szesnaście rubli papierami i pół rubla srebrem, zapytał:

– Cóż, nie macie krzywdy?

– Bogać tam krzywdy! – odparła Ślimakowa. – Żebyśmy co dzień tak sprzedawali...

– Będziecie sprzedawać, jak wybudujemy kolej.

– Niechże jaśnie panom Pan Bóg dopomaga i Matka Przenajświętsza! – błogosławiła ich kobieta. Milczący Owczarz kłaniał się do ziemi, a Ślimak, z kapeluszem w ręku, odprowadził ich aż do jarów.

Gdy wrócił stamtąd, począł z gorączkowym pośpiechem wydawać dyspozycje:

– Zbierz, Jagna, masło; ty, Magda, narwij najpiękniejszych ogórków kopę i dziesięć sztuk, a ty, Maćku, weź worek i biegaj z Jędrkiem do wody po raki... Jezus, Panno Mario! Jeszcześmy też nigdy tyle nie utargowali... Trzeba, żebyś w niedzielę kupiła sobie fular⁷², a Jędrkowi nową kamizelkę na tę intencję!...

– Szczęście weszło do naszego domu – rzekła nie mniej wzruszona kobieta. – A fular kupić trzeba, bo inaczej nie uwierzą we wsi, że zarobiliśmy takie wielkie pieniądze.

– Trochę nie podoba mi się, że po nowej drodze wozy będą

⁷¹ kopa – 60 sztuk. [przypis edytorski]

⁷² fular – chustka zawiązywana pod szyją. [przypis edytorski]

jeździć bez koni – dodał Ślimak. – Ale nie mój to grzech.

Ku wieczorowi odwiózł inżynierom kupione przez nich zapasy i otrzymał nowe obstalunki; przy wytykaniu⁷³ bowiem linii pracowało kilkunastu panów, którzy mianowali Ślimaka jeneralnym⁷⁴ dostawcą. Więc sprzedawał im drób i nabiał, pieczywo i jarzyny po cenie oznaczonej przez inżynierów, sam skupując produkta⁷⁵ we wsiach okolicznych i zarabiając grosz na groszu. Chłop podziwiał hojność nowych znajomych, a oni taniść produktów.

W tydzień oddział inżynierski przeniósł się dalej, a Ślimak po obrachunku z żoną przekonał się, że ma około dwudziestu pięciu rubli pieniędzy, które spadły nie wiadomo skąd, nie licząc zarobku za furmanki i zapłaty za dni stracone.

„Czy oni omylili się, czybym ja im czego nie odwiózł?...” – myślał chłop i wstyd mu się zrobiło tych pieniędzy.

– Wiesz, Jagna – rzekł raz do kobiety – może by pojechać za panami i oddać im ten grosz?

– O głupi! – krzyknęła kobieta – a przecie każdy tak zarabia, kto handluje. Jeszcześ im łaskę wyświadczył, że sprzedawałeś kuraki po dwa złote, kiedy Żydom płaciliby po pół rubla...

– Ale kupowałem u ludzi po złotemu.

– A Żyd po czemu kupuje?

⁷³ *wytykanie* – dziś: wytyczanie; odmierzanie i zaznaczanie powierzchni gruntu (daw. za pomocą tyk). [przypis edytorski]

⁷⁴ *jeneralny* (daw.) – generalny. [przypis edytorski]

⁷⁵ *produkta* – dziś popr. M. i B.lm: produkty. [przypis edytorski]

– Żyd nie jest rolnikiem i wreszcie on niechrzczony.

– Za to on zarabia po dwa złote i po dziesiątce na każdym kuraku, a ty po złotówce. Wreszcie złotówka to nawet nie zarobek, ino podarunek, co panowie dali ci za fatygę.

Wyraz „za fatygę” uspokoił chłopą. Jużci on się sfatygował, a panowie mogą mu tyle ofiarować, ile im się podoba. Państwo z Warszawy dobrze widać płacą za fatygę, kiedy nawet szwagierek dziedzica za podniesienie czapki dał Jędrkowi srebrną czterdziestkę.

Kiedy gospodarstwo zajęli się dostawą dla inżynierów, całe zniwo spadło na Maćka Owczarza. Co dawniej robili we troje albo w pięcioro, to dzisiaj on musiał odrabiać sam jeden. Wychodził na wzgórze przede dniem, schodził późno w nocy i żął, snopki wiązał, mendle układał, a rozmyślał: „Jaka to może być droga żelazna, po której jeżdżą bez koni?”.

Widząc, że mimo pilności parobka robota ciągnie się dłużej niż zwykle, Ślimak wynajął do pomocy starą Sobieską. Baba przysła o szóstej z niedużą butelką lekarstwa na ranę w nodze i do południa żęła za dwie osoby, wyśpiewując grubym głosem piosenki, których nawet Maćkowi wstyd było. Ale kiedy po obiedzie zażyła lekarstwo, mocno pachnące okowitą, kuracja tak ją rozebrała, że babie wypadł sierp z ręki.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.